

Bartłomiej Kozłowski

Godek i Śmiszek warci siebie

„Ten projekcik nie tylko powinien trafić do... nie trafić do zamrażarki sejmowej. Ten projekt powinien trafić do sejmowego śmietnika, bo tylko tam jest miejsce tego typu projekcików”. Te słowa wypowiedział 10 listopada 2020 r. w „Debacie Dnia” Polsat News poseł Lewicy Krzysztof Śmiszek, drąc przy tym na kawałki wydruk przedstawionego przez Fundację Życie i Rodzina Kai Godek projektu ustawy „Stop LGBT” która miałaby zabronić organizowania m.in. tzw. marszów równości.

Miał w moim odczuciu absolutną rację i doskonale zrobił, że swoją opinię na temat tego projektu wyraził w tak dobitny sposób. Bo projekt ten zmierza do ograniczenia podstawowych praw obywatelskich, takich, jak wolność zgromadzeń i wolność wyrażania opinii. Może on przynieść szersze skutki szkodliwe dla Polski, jeśli przez posłów w Sejmie, którzy jednak będą musieli się nim zająć (*sorry*, takie są przepisy), zostanie on potraktowany w sposób poważny. Uchwalenie takiego prawa, jakie chce wprowadzić Kaja Godek kompromitowałyby Polskę na świecie i potęgowałyby jej obraz jako kraju homofobicznego i nietolerancyjnego. Spowodowałyby, jak myślę, to, że Polska zaczęłaby być postrzegana nie tylko jako kraj nietolerancyjny i nieprzyjazny wobec mniejszości seksualnych – bo przecież i tak się Polskę na świecie postrzega – ale jako kraj nietolerancyjny i wrogi wobec owych mniejszości w stopniu wręcz ekstremalnym.

Lansowany przez Kaję Godek projekt jest ponadto absurdalny z konstytucyjnego punktu widzenia. W uzasadnieniu tego projektu już na samym wstępie przywołany został art. 18 [Konstytucji](#), w myśl którego „*małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej*”. Odnośnie tego zapisu uważam, iż można polemizować z zawartym we wspomnianym uzasadnieniu twierdzeniem, że z przepisu tego wprost wynika to, że „*małżeństwem może być jedynie związek pomiędzy dwoma osobami różnej płci*”. Moim zdaniem można byłoby argumentować, że przepis ten nie zabrania uchwalenia ustawy pozwalającej na zawieranie małżeństw także osobom tej samej płci, o ile tylko ochrona i opieka, jaką polskie państwo zapewnia rodzinie, macierzyństwu, rodzicielstwu oraz małżeństwom pojętym jako tradycyjne związki kobiet i mężczyzn nie zostałyby wskutek wprowadzenia takiej ustawy uszczuplona. W jaki sposób taka - póki co czysto hipotetyczna – ustawa miałaby uszczuplać ochronę dóbr, o których mowa jest w art. 18 konstytucji? Ja, prawdę mówiąc, nie wiem. Niech każda osoba, która ma męża – albo żonę – i (najlepiej) do tego dzieci spróbuje choćby zastanowić się nad tym, w jaki ewentualnie sposób jej małżeństwu i rodzinie mogłoby zagrozić to, że jakieś dwie panie czy jakichś dwóch panów – albo nawet naprawdę sporo takich pań i panów – mają papier mówiący, że one, czy też są oni, małżeństwem w świetle prawa państwowego? Osobiście nie umiem wskazać w jaki sposób wymienione w art. 18 konstytucji dobra mogłyby być zagrożone przez legalizację jednopłciowych małżeństw. Faktyczne związki osób tej samej płci – żyjących czasem ze sobą jak mąż z żoną, albo i zgodniej – przecież w Polsce istnieją i nikt nie twierdzi, że istnienie takich związków stanowi zagrożenie dla tradycyjnych małżeństw i rodzin – zakazu takich związków nie domaga się, za przeproszeniem, nawet Kaja Godek. Czy stałoby się coś gorszego, niż ewentualnie w tej chwili już jest, gdyby wprowadzone zostało prawo pozwalające na legalizację (choć to nie jest może najlepsze słowo – związki osób tej samej płci nie są przecież w Polsce nielegalne – w tym sensie, by były one prawnie zakazane) takich związków?

Tak czy owak, chciałbym zauważyć, że choć konstytucja faktycznie zawiera zapis mówiący o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny, to jednocześnie nie zawiera ona żadnego zapisu zabraniającego uznania, w drodze ustawy, że małżeństwem może być także związek osób tej samej płci. Pomińmy tu już śmielszy – choć moim zdaniem wyobraźalny - pomysł, jakim byłoby uznanie, że brak legalizacji takich związków stanowi naruszenie art. 32 konstytucji, który w swym ust. 1 mówi, że „*Wszyscy są wobec prawa równi*” oraz, że - co wydaje się w tym kontekście szczególnie ważne – „*Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne*” zaś w ust. 2 że „*Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny*”. Chciałbym zauważyć, że odwołując się właśnie do zasady równego traktowania przez państwo, która w [Konstytucji USA](#) przybrała formę zawartego w XIV Poprawce zapisu mówiącego o tym, że „*Nie może też żaden stan (...) odmówić komukolwiek na swoim obszarze równej ochrony prawa*” Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych w wydanym w 2015 r. orzeczeniu w sprawie [Obergeffel v. Hodges](#) uznał, że wynikające *implicite* z Konstytucji – co już dawno zostało uznane – prawo do zawarcia małżeństwa, tak samo, jak tyczy się ono – co chyba oczywiste – osób różnej płci – tak samo musi ono obejmować osoby tej samej płci. No, ale takie numery to na pewno nie z naszym Trybunałem Konstytucyjnym.

Lecz jeśli nawet z art. 18 konstytucji wynika – a taka jest, zdaje się, opinia większości polskich prawników – konstytucjonalistów – zakaz legalizacji jednopłciowych małżeństw, czy zakaz legalizacji już nawet nie tylko małżeństw, ale także np. tzw. związków partnerskich – to uzasadnianie przy użyciu takiego - przyjmijmy dla świętego spokoju, że *per se* trafnego - argumentu pomysłu zakazania manifestacji propagujących rozszerzenie instytucji małżeństwa na osoby tej samej płci czy też propagujących związki osób tej samej płci lub związki składające się z więcej niż dwóch osób (które to związki nie są, przytomnie chciałbym zauważyć, prawnie zakazane i nawet Kaja Godek nie proponuje zakazania owych związków jako takich) jest, na zdrowy rozum, mniej więcej czymś takim, czym byłoby uzasadnianie pomysłu zakazania manifestacji na rzecz np. zniesienia Senatu, czy likwidacji Trybunału Konstytucyjnego poprzez odwołanie się do przepisów Konstytucji, które przewidują istnienie takich akurat organów władzy. Przecież można byłoby twierdzić, że takie manifestacje godzą w konstytucyjne zasady – tak samo, jak godzą w nie – zdaniem p. Godek – manifestacje propagujące jednopłciowe małżeństwa. W oparciu o argumentację tego rodzaju, jak ta, przy użyciu której Kaja Godek próbuje uzasadnić pomysł zakazu „marszów równości” z powodzeniem można byłoby też uzasadnić zakaz demonstracji na rzecz np. wypowiedzenia przez Polskę Konkordatu – w tej kwestii można by się było powołać na art. 25 Konstytucji, który mówi, że „*Stosunki między Rzeczpospolitą Polską a Kościołem Katolickim określają umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy*” (co można interpretować w ten sposób, że jakkolwiek stosunki między polskim państwem a Kościołem Katolickim mogą być po części regulowane na poziomie ustaw, to niezbędną z konstytucyjnego punktu widzenia częścią regulacji tych stosunków jest umowa Polsko – Watykańska, zwana tradycyjnie konkordatem. To oczywiście nie jest moja interpretacja tego przepisu – tzn. taka, za jaką bym się opowiadał – ale przyszło mi do głowy tyle, że taka akurat jego interpretacja jest wyobraźalna). W podobny sposób można byłoby też oczywiście uzasadnić pomysł zakazu manifestacji na rzecz wycofania nauki religii ze szkół publicznych – tu akurat można byłoby się odwołać do artykułu 53 ust. 4, który przewiduje, że „*Religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób*” (co na zdrowy rozum oznacza, że udział w lekcjach religii nie może być przymusowy).

Równie dobrze można byłoby uzasadnić zakaz demonstracji na rzecz pomysłu zrobienia z Polski państwa federacyjnego, powołując się na art. 3 konstytucji, który mówi, że „*Rzeczpospolita Polska jest państwem jednolitym*”. Absolutnie tak samo przekonująco można byłoby uzasadnić postulat zakazu demonstracji przeciwko zakazowi aborcji – powołując się na art. 38 konstytucji, mówiący, że „*Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia*” – i bardzo możliwe, że Kaja Godek podpisałaby się pod takim postulatem – zwłaszcza, że Trybunał Konstytucyjny powołując się na ten właśnie przepis uznał niedawno, że gwarantowana jak dotąd prawna dopuszczalność aborcji z powodów embriopatologicznych jest niezgodna z Konstytucją. W oparciu o analogiczne rozumowanie można byłoby uzasadnić zakaz manifestacji na rzecz przywrócenia kary śmierci (za czym ja się [zdecydowanie nie opowiadam](#)) – można byłoby przecież twierdzić, że manifestacje takie godzą w konstytucyjną zasadę ochrony ludzkiego życia, w tym także życia np. morderców (co o takim akurat pomysle powiedziałyby Kaja Godek nie mam pojęcia – na temat jej stosunku do kary śmierci po prostu nic nie wiem).

Tak czy inaczej, Kaja Godek według wszelkiego prawdopodobieństwa nie rozumie tego, że z faktu, iż konstytucja ustanawia jakieś sprawy w taki czy inny sposób – np. mówi o tym (w każdym razie jej zdaniem), że małżeństwem może być tylko związek jednej kobiety i jednego mężczyzny – nie wynika, że można zabronić postulowania zmiany sposobu regulacji tych spraw – w tym także poprzez organizowanie publicznych zgromadzeń i udział w takich zgromadzeniach – bez naruszania przy tym konstytucyjnych przepisów gwarantującym wszystkim ludziom znajdującym się w obszarze władzy Rzeczypospolitej Polskiej takie prawa, jak prawo do wyrażania swoich poglądów (art. 54 ust. 1 konstytucji) i prawo do organizowania pokojowych zgromadzeń oraz uczestniczenia w nich (art. 57) – a także bez jakiegoś drastycznego nadużycia zawartego w art. 31 ust. 3 konstytucji zapisu, zgodnie z którym „*Ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób*” i zgodnie z którym ponadto „*Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw*”. Ciekawie swoją drogą, w jakim stopniu Kaja Godek byłaby gotowa godzić się na implikacje potencjalnie mogące wyniknąć z przyjętego przez nią niewątpliwie rozumowania, że można zakazać jakichś manifestacji z tego powodu, że godzą one w jakieś zasady zapisane w konstytucji. Wyobraźmy sobie w tym kontekście – co oczywiście obecnie jest rzeczą kompletnie nieprawdopodobną, ale nie można mimo wszystko powiedzieć, by było niemożliwe w jakiejś przyszłości, że do polskiej konstytucji wprowadzony zostałby zapis mówiący wprost o tym, że dwie osoby, zarówno różnej, jak i tej samej płci mogą zawrzeć ze sobą związek małżeński. Prawo do zawierania homoseksualnych małżeństw byłoby w takim przypadku bezpośrednio gwarantowane przez samą konstytucję. Czy p. Godek zaakceptowałaby pomysł wprowadzenia ustawy zabraniającej urządzania manifestacji przeciwko takiemu zapisowi w konstytucji i domaganiu się przywrócenia stanu prawnego, w którym małżeństwo mogli zawrzeć ze sobą tylko mężczyzna i kobieta? To chyba pytanie retoryczne. Ale takich manifestacji, w przypadku wprowadzenia do konstytucji takiego – mocno póki co hipotetycznego – zapisu można byłoby zabronić w oparciu o lansowane przez p. Godek w uzasadnieniu przedstawionego przez nią projektu ustawy „Stop LGBT” rozumowanie, że można zakazać manifestowania jakichś poglądów z tego powodu, że poglądy te godzą w jakieś zasady zapisane w – czy też wynikające z – konstytucji.

Uzasadnienie projektu ustawy przedstawionego przez Fundację Życie i Rodzina Kai Godek zawiera też kompletnie niepoważne i po prostu obłudne w świetle treści tego projektu stwierdzenie, że „*Projekt ten nie dąży do uniemożliwienia jakiegokolwiek grupie społecznej (w*

tych członkom ruchu LGBT) prezentowania swoich przekonań publicznie". Przepraszam bardzo, ale naprawdę trudno byłoby w jakiś choćby minimalnie sensowny sposób zaprzeczyć temu, że cel tego projektu jest dokładnie taki.

W uzasadnieniu wspomnianego projektu w sposób niewątpliwie instrumentalny przywoływana jest też wpisana do konstytucji zasada, że rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami (art. 48 ust. 1). To prawda – nie da się temu zaprzeczyć – że podczas „parad równości” propagowane są poglądy, odnośnie których wielu rodziców nie chcieliby, żeby ich dzieci uznały te poglądy za swoje i prezentowane bywają zachowania, co do których niektórzy rodzice z pewnością nie chcieliby, żeby ich dzieci te zachowania oglądały. Ale w odniesieniu do wielu innych rodzajów manifestacji można byłoby argumentować, że mogą one naruszać prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie ze swymi przekonaniami w podobny sposób, w jaki zdaniem Kai Godek prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z wyznawanymi przez siebie wartościami naruszają „marsze równości”. Przykładowo – przypuszczam np. że ludzie wykonujący zawód rzeźnika chcieliby wychowywać swoje dzieci w przekonaniu, iż zabijanie zwierząt – takich, jak np. krowy, czy świnie – w sposób humanitarny i maksymalnie ograniczający cierpienia tych zwierząt nie jest czymś okrutnym i niehumanitarnym, lecz jest zupełnie normalną rzeczą, którą ludzie zawsze robili i zawsze będą robić. Manifestacje, podczas których propagowane są poglądy, że zabijanie zwierząt jest czymś okrutnym i niehumanitarnym i lansowany jest wegetarianizm potencjalnie mogą wpływać na przekonania dzieci takich ludzi, podważając ich dążenia do wychowania swoich dzieci według własnych przekonań dotyczących takiej kwestii, jak moralna i prawna dopuszczalność zabijania zwierząt. Powinno się zabronić takich demonstracji z powołaniem się na art. 48 ust. 1 konstytucji, jak w odniesieniu do „marszów równości” czegoś takiego chciałaby Kaja Godek? Nie wiem, może ktoś by i chciał. Moim jednak zdaniem powoływanie się na konstytucyjne prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami – które to prawo należy moim zdaniem rozumieć w taki sposób, że rodzice mają prawo starać się wychowywać dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami, ale nie w taki, że gwarantuje się rodzicom to, że ich dzieci będą miały przekonania takie, jakie oni chcą, żeby miały – w celu uzasadnienia zakazu ogólnego, publicznego propagowania jakichś poglądów jest czymś prowadzącym do absurdu. Prawdopodobnie odnośnie jakiegokolwiek poglądu znaleźliby się ludzie twierdzący, że nie chcą, by ich dzieci – czy to przy okazji jakiejś manifestacji, czy przeglądając jakieś treści w Internecie – zetknęły się z tym poglądem, gdyż przecież mogą one zaakceptować ten pogląd, co narusza ich prawo do wychowania dzieci zgodnie ze swoimi poglądami. Przyjęcie, że prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie ze swymi przekonaniami może usprawiedliwiać zakaz propagowania jakiegoś poglądu – czy, powiedzmy, jak ma to miejsce w przypadku „parad równości” pewnego zestawu poglądów – w sposób praktycznie automatyczny prowadziłyby więc do wniosku, że z powołaniem się na to prawo można uzasadnić zakaz propagowania jakichkolwiek poglądów. W tym oczywiście takich poglądów, jakie propaguje Kaja Godek – mogą je przecież za potencjalnie szkodliwe dla swoich dzieci – i podważające ich własne prawo do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami uznać ci, którzy chcą wychowywać dzieci w duchu tolerancji dla takich ludzi, jak np. geje i lesbijki.

Bez wątplenia też instrumentalny charakter ma także odwołanie się w uzasadnieniu projektu wspomnianej tu ustawy do art. 31 ust. 3 konstytucji, który przewiduje możliwość tworzenia ograniczeń w korzystaniu z gwarantowanych przez konstytucję wolności i prawa, pod warunkiem, że ograniczenie to przewidziane jest przez ustawę i jest „konieczne w demokratycznym państwie” dla ochrony takich m.in. wartości, jak porządek publiczny i moralność publiczna. Choć tu, przyznam, jest pewien „haczyk” z tego względu, że „porządek publiczny” i „moralność publiczna” to nieprecyzyjne, potencjalnie bardzo rozciągliwe i

kolokwialnie wyrażając się „śliskie” pojęcia. Osobiście wolałby, żeby w konstytucji tak podatnych na manipulację pojęć nie było. Warto jednak zauważyć, że w uzasadnieniu projektu, o którym tu mowa, przytaczane są np. stwierdzenia wyjęte z wyroków Trybunału Konstytucyjnego, z których trudno byłoby wyciągnąć wniosek, że zakaz czegoś takiego, jak „parady równości” może być czymś „koniecznym w demokratycznym państwie” jako środek ochrony takiej np. wartości, jak „porządek publiczny”. Przywołane jest np. zdanie zawarte w decyzji z 1999 r. w którym powiedziane zostało, że *„Przesłanka ochrony porządku publicznego, mimo jej dalece niedookreślonego treściowo charakteru, mieści w sobie niewątpliwie postulat takiego ukształtowania stanu faktycznego wewnątrz państwa, który umożliwia normalne współżycie jednostek w organizacji państwowej”*. Ze zdania tego wynika to, iż pojęcie „porządek publiczny” oznacza taki stan w państwie – ewentualnie w mniejszej jego części – w którym ludzie mogą w sposób normalny współistnieć ze sobą. Co jak co, ale pokojowe demonstracje, nawet o wysoce kontrowersyjnym przesłaniu nie są – w odróżnieniu od burd, awantur i rozruchów – czymś, co uniemożliwia normalne współistnienie ludzkich jednostek – przeciwnie, są one zdarzającą się przynajmniej czasem, częścią normalnego współistnienia tych jednostek.

W odniesieniu z kolei do „moralności publicznej” – innej niż (m.in.) „porządek publiczny” wartości, której ochrona (znów, jeśli jest to „konieczne w demokratycznym państwie”) może uzasadniać tworzenie w drodze ustaw ograniczeń w zakresie gwarantowanych skądinąd przez konstytucję praw i wolności uzasadnienie projektu ustawy „Stop LGBT” nie odwołuje się do orzecznictwa TK, lecz powołuje się na fakt, że ponad 90% Polaków jest orientacji heteroseksualnej oraz wyznaje religię chrześcijańską, według której homoseksualizm jest grzechem. Uzasadnienie nie zawiera jednak argumentów uzasadniających tezę, by uchwalenie zaproponowanej przez fundację Kai Godek ustawy było konieczne dla ochrony moralności publicznej (podobnie jak dla porządku publicznego). Jak już wspomniałem, sensownym uzasadnieniem ewentualnego zakazu „parad równości” nie może być konieczność ochrony konstytucyjnej zasady, że małżeństwem może być tylko związek kobiety i mężczyzny, oraz że rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej (art. 18 konstytucji) – gdyby „kupić” ten argument, to należałoby uznać, że konstytucja – z ewentualnym, pomocniczym powołaniem się na twierdzenie o konieczności ochrony „porządku publicznego” czy „moralności publicznej” - pozwala na zakazanie krytykowania jakichkolwiek jej zapisów, czy proponowania innych zapisów, niż w niej figurują, gdyż coś takiego godzi przecież w konstytucyjne wartości. Podobnie też sensownym uzasadnieniem proponowanego przez Kaję Godek zakazu nie może być prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie ze swymi przekonaniem – gdyby to prawo miało być powodem zakazu „marszów równości” to równie dobrze można byłoby je uznać z powodów do zakazania wyrażania jakichkolwiek poglądów – bo w przypadku każdego poglądu znajdują się jacyś rodzice, którzy stwierdzą, że nie chcą, by takie poglądy mogły dotrzeć do ich dzieci. Powodem zakazu wspomnianego rodzaju demonstracji nie może być też wymieniona w uzasadnieniu projektu ustawy „Stop LGBT” potrzeba ochrony wolności wyznawania religii – w konkretnym wypadku religii chrześcijańskiej. W jaki sposób „marsze równości” miałyby naruszać wolność wyznawania religii – prawdę mówiąc, nie wiem. Tzn. owszem – w trakcie tych marszów zdarzały się zachowania, które mogły obrażać uczucia religijne niektórych osób – przykładem może być msza św. (parodia mszy?) odprawiona przez znanego działacza na rzecz praw osób LGBT i byłego biskupa niezarejestrowanego w Polsce (co bynajmniej nie znaczy, że nielegalnego – co najwyżej tylko niemającego osobowości prawnej) Zjednoczonego Ekumenicznego Kościoła Katolickiego Szymona Niemca, podczas której jeden z celebransów miał na głowie faktycznie mało – na zdrowy rozum - pasujące do nabożeństwa nakrycie głowy, jakim był durszlak. Lecz jeśli nawet jacyś ludzie poczuli się dotknięci w swych uczuciach religijnych przez coś takiego, jak wspomniana msza – czy też

parodia mszy (kwestia tego, czy była to msza, czy też parodia mszy zależała, moim zdaniem, od intencji odprawiających – nie od tego, jak zdarzenie to postrzegały osoby wrogo nastawione wobec działaczy LGBT) to wolność religijna tych ludzi nie została w żaden sposób ograniczona. „Obraża uczuć religijnych” – jakby czymś nieprzyjemnym dla takich osób nie była (oczywiście, że „obraża uczuć” – jakichkolwiek uczuć – choćby np. uczuć estetycznych – jest czymś w jakimś stopniu niemiłym dla doświadczającej osoby) nie mogła spowodować tego, by osoby te nie mogły wierzyć – albo nie wierzyć – w co tylko chcą – nie mogła zatem prowadzić do naruszenia swobody wierzeń takich osób. Nie mogła też ona prowadzić do tego, by osoby takie nie mogły np. chodzić do kościoła, modlić się itp. – nie mogła zatem skutkować ona naruszeniem wolności podejmowania lub niepodejmowania praktyk religijnych. A poza tym, jeśli ktoś już się bardzo czepia kwestii obrażania uczuć religijnych w trakcie Marszów Równości to chciałbym zauważyć, że w kodeksie karnym wciąż jest (krytykowany poniekąd przeze mnie (1) art. 196, który przewiduje karę grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2 dla kogoś, kto „*obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego sprawowania obrzędów religijnych*”. Za obrazę uczuć religijnych to i do więzienia (choć powiedzmy – i na szczęście – raczej teoretycznie) można trafić – aby móc za nią karać nie trzeba wymyślać żadnych nowych przepisów, chyba, że i tak nieprecyzyjne i rozciągliwe pojęcia, jakie są zawarte w art. 196 k.k. (co to jest przedmiot czci religijnej? Czy jeśli jakaś grupa osób uzna jakiegoś człowieka za boga – tak, jak chrześcijanie uznają za Boga Chrystusa – a ja oczywiście uznaję Go za Boga – to czy można tego człowieka, będącego obiektem kultu religijnego pewnych osób uznać za „przedmiot czci religijnej” którego „znieważenie” podlega karze na podstawie art. 196 k.k.? Co to jest „znieważenie” przedmiotu czci religijnej? Kilka lat temu w Tygodniku „Nie” Jerzego Urbana ukazał się wizerunek Jezusa z nieco zdziwioną twarzą. Było to znieważanie przedmiotu czci religijnej, którym dla chrześcijan niewątpliwie jest Jezus Chrystus, czy też nie? Sąd I instancji uznał, że tak – i wlepił Urbanowi 120 tys. złotych grzywny – sąd odwoławczy uznał, że nie – i redaktora naczelnego „Nie” uniewinnił. Jednym z niezbędnych znamion przestępstwa z art. 196 k.k. jest „obrażenie uczuć religijnych innych osób” – przynajmniej dwóch. Jak jednak można, z uczciwym stopniem pewności stwierdzić to, czy uczucia religijne osób, które skarżą się z powodu np. jakiejś błężniejszej publikacji czy obrazoburczego przedstawienia faktycznie zostały obrażone – i do tego jeszcze w jaki stopniu – czy też osoby te postanowiły po prostu dopiec osobie, która rzekomo obraziła ich uczucia religijne – mimo nie spowodowania przez tę osobę wystąpienia u tych osób krzywdy w postaci obrazy ich uczuć religijnych?) chce się rozciągać w jakiś zupełnie nieprawdopodobny już sposób.

Ktoś, kto napisał uzasadnienie projektu ustawy „Stop LGBT” (nie wiem, czy to zrobiła Kaja Godek, czy ktoś inny – musiał to mimo wszystko zrobić ktoś, kto zna się na prawie) usiłował wykazać konieczność wprowadzenia przewidzianych przez ten projekt ograniczeń takich wolności, jak wolność zgromadzeń oraz wolność wypowiedzi – ale nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że ograniczenia owych wolności – czy w ogóle jakichkolwiek wolności były przez tego kogoś traktowane wyjątkowo lekką ręką. Taki wniosek wynika dla mnie m.in. z następującego fragmentu uzasadnienia tego projektu: „*Na uwagę zasługuje fakt, że ograniczenia praw lub wolności człowieka w demokratycznym państwie prawnym nie są niczym nadzwyczajnym, a wręcz przeciwnie są napotykanne na każdym kroku. Czym innym jest w istocie nakaz zapinania pasów w samochodzie, ograniczenie prędkości w ruchu drogowym czy granica wieku, od której można nabyć alkohol, jeżeli nie ograniczeniem wolności osobistej jednostki?*”. Ten fragment uzasadnienia projektu ustawy „Stop LGBT” odwołuje się do faktycznych – i przy tym rzadko, jeśli kiedykolwiek kwestionowanych – prawnych ograniczeń ludzkiej wolności, ale czymś, co w tym fragmencie (jak i w całym zresztą

uzasadnieniu projektu) jest kompletnie ignorowane jest podział wolności na fundamentalne – zapisane wprost w konstytucji (czy aktach prawa międzynarodowego) lub dające się wyinterpretować z niej (z nich) – i takie, które jakimiś fundamentalnymi wolnościami nie są. Nie – fundamentalna wolność to wolność robienia czegoś, czego prawo po prostu nie zabrania. Jeśli prawo nie zabrania ludziom np. palenia śmieci – czy ognisk – albo urządzania grilla w przydomowych ogródkach – to ludziom wolno takie rzeczy robić – cieszą się więc wolnością palenia czegoś tam, czy urządzenia grilla (co zresztą na jedno i to samo wychodzi, bo grilla nie da się zrobić bez palenia czegoś tam). Lecz władze mogą – przy zachowaniu odpowiednich procedur – ustanowić zakaz robienia takich rzeczy, mając na względzie racjonalny powód, jakim jest chęć ochrony innych osób, niż te, które coś tam palą, przed koniecznością wdychania szkodliwego i śmierdzącego dymu. Nic w konstytucji nie sugeruje, by istniała jakaś „konstytucyjna wolność” robienia grilla na balkonie w bloku, czy palenia śmieci w znajdującym się pod takim blokiem ogródku. Podobnie, nie jest też fundamentalną wolnością wolność dowolnie szybkiej jazdy samochodem. Owszem, art. 52 ust. 1 konstytucji gwarantuje każdemu wolność poruszania się po terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, ale z pewnością nie gwarantuje prawa do dowolnie szybkiego poruszania się po tym terytorium. Nie dałoby się też raczej z konstytucji wyczytać takich wolności, jak wolność sprzedawania alkoholu dzieciom, czy jazdy samochodem bez zapiętych pasów.

Choć jeśli chodzi o te sprawy, to przyznam, że nawet te ograniczenia wolności, o których wspominał autor uzasadnienia projektu ustawy „Stop LGBT” – jakkolwiek trudne raczej do poważnego kwestionowania w ich obecnym kształcie – nie są, z konstytucyjnego punktu widzenia całkiem bezproblemowe – jeśli mówimy o ich jakichś hipotetycznych, nieznanych obecnemu polskiemu prawu, ograniczeniach. Konstytucja z pewnością nie gwarantuje prawa do dowolnie szybkiego poruszania się po terytorium Rzeczypospolitej Polskiej – ale czy to znaczy, że zwykły ustawodawca mógłby – nie naruszając konstytucji – spowolnić szybkość owego poruszania się w dowolnie ustalony przez siebie sposób? Sądzę, że byłoby naruszeniem konstytucji wprowadzenie przepisu, w myśl którego maksymalna szybkość jazdy samochodem, nawet na autostradzie mogłaby wynosić nie więcej, niż – powiedzmy – 30 km/h. Lub nawet – myślę – 50 km/h. Czy 60 km/h. Lecz gdzie jest granica, przy której ograniczenie prędkości jazdy samochodem po autostradzie (czy innej drodze – w zależności od jej warunków) należałoby już uznać za konstytucyjnie dopuszczalne? Powiem szczerze, że nie wiem – i nie zamierzam się na ten temat wypowiadać – chciałbym stwierdzić tylko tyle, że regulacja prędkości jazdy samochodem jest potencjalnie wyobraźalnym konstytucyjnym problemem (aczkolwiek nie sądzę, że jakiś sąd czy Trybunał Konstytucyjny kiedykolwiek będzie musiał tym problemem w praktyce się zająć – czy ktoś, zwłaszcza jakiś prawnik – konstytucjonalista zastanawiał się kiedykolwiek nad nim?). Podobnie, trudno byłoby znaleźć w Konstytucji – bądź wyczytać z niej – taką wolność, jak wolność sprzedawania alkoholu nieletnim. Lecz i tu zachodzi pytanie: czy zwykłemu ustawodawcy wolno byłoby – bez naruszania konstytucji – uchwalić ustawę, zgodnie z którą alkohol mogłyby legalnie nabywać osoby w wieku wyższym, niż 18 lat? A więc – powiedzmy – 21 lat, jak wciąż ma to miejsce w Stanach Zjednoczonych? Albo jeszcze więcej – np. 25 lat? Również nie chcę się o tym wypowiadać, ale chciałbym zauważyć mimo wszystko, że kwestia ustalenia wieku, w jakim ludzie mogą legalnie kupować alkohol jest potencjalnie wyobraźalnym problemem konstytucyjnym i sądzę też, że trudno byłoby twierdzić, że wiek ten może przez zwykłego ustawodawcę zostać określony w sposób dowolny. Co zaś do jeżdżenia samochodem bez zapiętych pasów – to czy takiej m.in. wolności nie można byłoby co najmniej spróbować wyczytać z art. 47 konstytucji, w którym jest mowa o tym, że „*Każdy ma prawo do (...) decydowania o swoim życiu osobistym*”? Sądzę, że znalazłoby się sporo takich, którzy z tego akurat przepisu chcieliby wyczytać taką wolność – i nie mogąc powiedzieć, że na pewno nie mieliby oni racji w swoim rozumowaniu.

Niezależnie jednak od tego, czego by nie sądzić o takich wolnościach, jak wolność sprzedawania alkoholu nieletnim, wolność obojętnie jak szybkiej jazdy samochodem czy wolność niezapinania pasów w samochodzie trzeba stwierdzić, że wolności tego rodzaju, co wolność słowa, wolność zgromadzeń czy wolność zrzeszania się są – w porównaniu ze wspomnianymi wolnościami – na innym konstytucyjnym poziomie. A w każdym razie, powinny być.

Dlaczego? Otóż m.in. z powodu – jeśli tak można to ująć – ustrojowej roli tych wolności. Zauważmy w tym kontekście taką rzecz: art. 2 polskiej Konstytucji mówi, iż „*Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, realizującym zasady sprawiedliwości społecznej*”. Nie zagłębiajmy się w jak najbardziej możliwe rozważania i debaty na temat tego, na ile Rzeczpospolita Polska jest faktycznie „państwem prawnym” – i „państwem demokratycznym” i na ile w rzeczywistości realizuje „zasady sprawiedliwości społecznej” – i jakie to są, mówiąc bardziej konkretnie, zasady. Co tu jest ważne to to, że w myśl tego przepisu Rzeczpospolita Polska ma być demokracją, czyli, tłumacząc z greckiego na polski słowo (wyrażenie?) *dēmos krátos* „ludowładztwem” – „rządami ludu”. Nie chodzi tu oczywiście o jakieś ludowładztwo bezpośrednie – takie, jakie istniało np. w starożytnych Atenach, bo ten model rządów nie mógłby w praktyce funkcjonować w państwie mającym wiele milionów obywateli – na pewno nie chodzi też o ludowładztwo absolutne – w tym sensie, że lud może uchwalić, co mu się tylko podoba (gdyby tak było, to wszelkie normy konstytucji, włącznie z normami dotyczącymi praw i wolności obywatelskich nie miałyby prawnego znaczenia – chyba, że jako pewna wskazówka, uprzejma prośba, żeby pewnych rzeczy – takich, jak np. wprowadzanie cenzury, czy zakazywanie ludziom wyznawania i praktykowania pewnych religii – nie robić) – ale mimo wszystko o ludowładztwo w tym sensie, że to lud – czy jak to jest ujęte w polskiej konstytucji Naród – które to pojęcie w sposób oczywisty oznacza ogół obywateli polskiego państwa, bez względu na ich narodowość w sensie etnicznym – jest ostatecznym suwerenem, decydującym w dniach wyborów, komu powierzyć bardziej bezpośrednio sprawowanie władzy – a w ostateczności mogącym doprowadzić do zmiany – a teoretycznie rzecz biorąc nawet i zniesienia – samej konstytucji.

Jeśli zaś Rzeczpospolita Polska jest – a w każdym razie ma być – demokracją, to trzeba powiedzieć jedno: nie ma demokracji bez wolności słowa. Bez swobody formułowania i uzasadniania takich czy innych postulatów, opinii, odnoszenia się do nich, krytykowania ich pojęcie demokracji byłoby pustosłowiem. Aby w pełni to sobie uzmysłowić, wyobraźmy sobie państwo będące niby – demokracją – w tym sensie, że w państwie tym odbywają się wybory – dodajmy przy tym, wybory nie ustawione z góry, w których kandydować na takie czy inne stanowiska czy urzędy mogą wszyscy mający ukończone ileś tam lat i w których rzetelnie liczone są głosy – a ordynacja wyborcza nie budzi wątpliwości, jeśli chodzi o przekładanie wyniku samych wyborów o rozdział mandatów w parlamencie (jak może być to w przypadku małych okręgów wyborczych, czy tzw. systemu d’Hondta) czy wytypowania zwycięzcy w wyborach na urząd np. prezydenta (jak może mieć to miejsce w USA, w związku z wciąż funkcjonującą tam zasadą wyboru prezydenta nie bezpośrednio przez wyborców, ale przez elektorów). Wyobraźmy też sobie jednak, że ci kandydaci na takie czy inne stanowiska nie mogli przedstawiać żadnych swoich programów i mówić, co myślą na takie czy inne tematy. Czy wybór takich, lub innych kandydatów na te czy inne stanowiska (radnych, posłów, senatorów, prezydenta) różniłby się czymś istotnie od zwykłego losowania? Albo od – powiedzmy – konkursu piękności? Wyobraźmy sobie z kolei, że mogliby oni mówić o tym, co myślą o takich czy innych sprawach i przedstawiać takie czy inne programy polityczne – ale, że zakazane byłoby krytykowanie tych programów i w ogóle twierdzeń wypowiedzianych przez kandydatów startujących w wyborach. Mielibyśmy w takim przypadku do czynienia z demokracją? Jeśli tak, to jakąś niesłychanie wypaczoną. Bo jeśli taka sytuacja miałaby miejsce, to automatycznie wypaczony musiałby być proces

formułowania opinii, które prowadzą do podejmowania decyzji o tym, na kogo głosować, albo na kogo nie głosować w wyborach (albo czy w ogóle iść na wybory).

Demokracji nie ma więc bez swobody wypowiedzi – znane jest stwierdzenie, że wolność słowa jest krwią, czy też tlenem demokracji. Wolność ta jest podstawą jej funkcjonowania, bo tylko w warunkach takiej wolności ludzie mogą rzeczywiście bez przeszkody kształtować swoje przekonania, prowadzące (a w każdym razie mogące prowadzić) do podejmowania decyzji w kwestii tego, na kogo głosować podczas wyborów, a na kogo nie.

Jaka jest z kolei rola, którą w demokracji odgrywa wolność zgromadzeń? Odpowiadając na to pytanie trzeba stwierdzić przede wszystkim to, że wolność ta jest pewną formą wolności słowa. Jest ona wolnością wyrażania opinii nie tylko w sposób indywidualny – tzn. że każdy sobie może wyrażać takie czy inne opinie, publikując je np. w Internecie czy w formie ulotek – ale także w sposób zbiorowy – kolektywnie, „w kupie”. Ta forma ekspresji poglądów odgrywa szczególnie ważną rolę praktyczną w demokracji, z tego prostego względu, że opinie wyrażane podczas publicznych zgromadzeń są o wiele bardziej widoczne, czy to dla innych obywateli, czy dla polityków – niż np. opinie formułowane przez mało znanych internautów (takich, jak np. ja) na jakichś swoich blogach, stronach czy forach internetowych. Te pierwsze, można tak powiedzieć, brzmią po prostu głośniej od tych drugich. Odgrywają więc one szczególną rolę, jeśli chodzi o kształtowanie opinii publicznej (co nie oznacza żadnego prostego oddziaływania na tę opinię) i wpływ na działania władz państwa.

Biorąc pod uwagę chociażby rolę, jaką wolności słowa i zgromadzeń (a także zrzeszania się – ale tej ostatniej dajmy spokój, gdyż Kaja Godek póki co nie domaga się jej ograniczenia – postulując np. zakaz istnienia organizacji propagujących idee praw osób LGBT) odgrywają w utrzymaniu demokracji uzasadnione wydaje się twierdzenie, że ograniczenia tych akurat wolności są cokolwiek bardziej problematyczne, niż ograniczenia np. prędkości na drogach, czy sprzedaży alkoholu. Nie trudno jest zauważyć, że zakazując np. głoszenia takich czy innych poglądów ogranicza się nie tylko prawo niektórych osób do wyrażania swoich poglądów, lecz także prawo innych osób do zapoznania się z tymi poglądami i wyrobienia sobie na podstawie tych poglądów – w ewentualnej konfrontacji ich z jakimiś innymi poglądami – własnej opinii na taki czy inny temat. Ograniczenia prawa do swobodnego wypowiedzania się – w tym także poprzez organizowanie manifestacji – nie są więc ograniczeniami praw jedynie tych osób, których one bezpośrednio dotyczą, lecz są czymś godzącym także w interesy innych – w przeciwieństwie do np. ograniczenia hipotetycznego prawa do niezapinania pasów w samochodzie – odnośnie którego trudno byłoby dowodzić, że w jakikolwiek sposób godzi ono w interesy innych ludzi, niż ewentualnie tych, którzy chcą jeździć samochodami bez zapiętych pasów.

Ale – powiedziane jest w uzasadnieniu projektu ustawy „Stop LGBT” – że prawa i wolności nie są nieograniczone i nawet nie mogą być takie. To prawda, trudno się z tym nie zgodzić. Aby to sobie uświadomić zastanówmy się nad prawnym zakazem, odnośnie którego ktoś – bardzo przynajmniej teoretycznie rzecz biorąc – mógłby powiedzieć, że stanowi on pewne ograniczenie wolności słowa, a mianowicie zakazem szantażu. Szantaż – inaczej mówiąc wymuszenie rozbójnicze – polega na tym, że ktoś – jak to jest powiedziane w art. 282 [kodeksu karnego](#) - „*mając na celu osiągnięcie korzyści majątkowej, przemocą, **groźbą zamachu na życie lub zdrowie albo gwałtownego zamachu na mienie** (pogrubienie moje), doprowadza inną osobę do rozporządzenia mieniem własnym lub cudzym albo do zaprzestania działalności gospodarczej*”. Sposobem popełnienia określonego w art. 282 k.k. przestępstwa może być więc wypowiedzenie – czy też napisanie – pewnych słów, których treścią jest zagrożenie komuś innemu zamachem na jego życie lub zdrowie albo gwałtownym zamachem na jego mienie. Oczywiście, aby przestępstwo określone we wspomnianym przepisie zostało zrealizowane, konieczna jest nie tylko groźba zamachu na czyjeś życie, itp.

ale także skutek tej groźby w postaci, jak to ujmuje kodeks karny, rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem albo zaprzestania prowadzenia działalności gospodarczej. Wyobraźmy sobie jednak, że do żadnego ze wspomnianych skutków przestępstwa z art. 282 k.k. nie dochodzi, gdyż osoba, do której były adresowane groźby informuje o nich policję, a ta wykrywa i łapie szantażystę. Czy ktokolwiek uważa, że usiłowanie szantażu powinno być bezkarne, bo polega ono – jakby nie było – na powiedzeniu bądź napisaniu *czegoś tam*? Popelnienie przestępstwa szantażu może więc polegać na powiedzeniu czy napisaniu pewnych słów – a usiłowanie szantażu na w istocie rzeczy niczym więcej (oczywiście, może też ono polegać na dokonaniu jakiegoś aktu fizycznej przemocy, ale ten przypadek zostawmy w spokoju) lecz nikomu chyba nawet nie przychodzi do głowy twierdzić, że zakaz szantażowania innych osób – czy to w celu zmuszenia ich do oddania im czegoś, czy w celu po prostu zmuszenia ich do jakiegoś określonego postępowania – stanowi jakiegokolwiek ograniczenie wolności słowa – choć zakaz taki, jakby nie było, ogranicza wolność mówienia czy pisania – w pewnych sytuacjach i pewnych kontekstach – pewnych rzeczy. Podobnie też, jeśli np. mający dostęp do ścisłych tajemnic militarnych wysokiej rangi wojskowy przekazuje te tajemnice wywiadowi obcego państwa, to jego zachowanie też przecież polega na powiedzeniu lub napisaniu *czegoś*. Albo na np. na fizycznym przekazaniu jakiegoś dokumentu, co normalnie też jest objęte zakresem wolności słowa. Nikt chyba jednak nie uważa, że ktoś taki powinien móc uniknąć odpowiedzialności karnej za szpiegostwo, powołując się na swoje prawo do wolności słowa – no bo w końcu on tam tylko coś komuś tam powiedział. Każdy z kolei zgodzi się chyba ze zdaniem [Olivera Wendella Holmesa](#) (byłego sędziego Sądu Najwyższego USA), że „*nawet najściślej pojęta wolność słowa nie może chronić kogoś, kto w teatrze krzyczy 'pożar' i wywołuje panikę*”. (2) A więc zgodzić się można, że wolność słowa – rozumiana po prostu jako wolność powiedzenia czy napisania tego czy owego – może czasem w sposób zasadny podlegać pewnym ograniczeniom.

Podobnie, zasadnym czasem ograniczeniom może podlegać wolność zgromadzeń. Co może być przykładem takich właśnie, uzasadnionych ograniczeń tejże wolności? Otóż, jak sądzę, może być nim zakaz organizowania dwóch – zwłaszcza potencjalnie wrogich sobie – manifestacji w jednym czasie i jednym miejscu. Oczywiście – jest rzeczą wyobrażalną, że uczestnicy owych zgromadzeń – a więc np. obrońcy życia poczętego i obrońcy prawa kobiet do przerywania ciąży – zaczną rozmawiać ze sobą i przekonywać się do swoich racji – ale jest też zupełnie prawdopodobne, że zaczną się między sobą po prostu bić, szczególnie, że w ulicznych demonstracjach często biorą udział osoby mocno przekonane do takich czy innych poglądów i w pewnym przynajmniej stopniu nabuzowane emocjami, związanymi z wyznawaniem takich poglądów i często wynikającą z niego wrogością wobec ludzi wyznających przeciwne poglądy. Zakaz dwóch zgromadzeń w jednym miejscu i czasie jest więc usprawiedliwiony.

Uliczne demonstracje – nawet jak najbardziej pokojowe – mogą też, w jakimś stopniu utrudniać nieuczestniczącym w nich ludziom życie – w sposób, w jaki nie mogą tego robić indywidualne wypowiedzi. Mogą one np. – przy jakiejś liczbie ich uczestników - utrudniać ruch drogowy, a w skrajnych przypadkach wręcz paraliżować życie całego miasta. Zasadny jest więc wymóg wcześniejszego zgłoszenia manifestacji, by władze miejscowości, w której ma się ona odbyć, mogli ją do niej przygotować – np. wyznaczając objazdy dla samochodów i zmieniając trasy autobusów czy tramwajów. Oczywiście, wymóg taki nie jest zasadny w każdym przypadku jakiegoś zgromadzenia. Nie jest on – na zdrowy rozum – zasadny w przypadku demonstracji, która miałaby się odbywać na jakimś pustym terenie, gdzie nie mogłoby być mowy o np. utrudnianiu ruchu drogowego. To jest jednak przykład raczej hipotetyczny, bo w takich miejscach, jak np. jakiś łąki czy pustkowia demonstracji raczej nikt nie urządza. Zasadne mogą być ograniczenia prawa do demonstrowania ze względu na czas i miejsce zgromadzeń. I tak np. czymś usprawiedliwionym byłby zakaz urzędzenia głośniejszej

demonstracji w miejscu zamieszkanym przez ludzi o godzinie np. 3 w nocy, ze względu na prawo ludzi do wyspania się. Podobnie, zasadne może być zakazanie hałaśliwej demonstracji, która miałaby się odbyć tuż pod oknami szpitala, w którym leżą ciężko chorzy i wymagający szczególnego spokoju ludzie.

Zakaz zgromadzeń, jakie przewiduje projekt Ustawy „Stop LGBT” z podanymi powyżej przykładami zasadnych, moim zdaniem, ograniczeń prawa do zgromadzeń, nie ma jednak kompletnie nic wspólnego. Pewne zgromadzenia miałyby się stać zakazane nie z takich powodów, jak np. ich miejsce czy czas, ale wyłącznie z powodu ich przesłania oraz prezentowanych podczas tych zgromadzeń haseł. Wniosek taki wynika w sposób oczywisty z treści [projektu ustawy „Stop LGBT”](#) który oficjalnie nazywa się projektem ustawy o zmianie ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. Prawo o zgromadzeniach oraz niektórych innych ustaw w myśl którego art. 10 ust. 2 [Prawa o zgromadzeniach](#) miałyby przybrać brzmienie następujące:

„Cel zgromadzenia nie może dotyczyć”

- a) kwestionowania małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny,
- b) propagowania rozszerzenia instytucji małżeństwa na osoby tej samej płci,
- c) propagowania związków osób tej samej płci lub związków składających się z więcej niż dwóch osób,
- d) propagowania traktowania związków osób tej samej płci lub związków składających się z więcej niż dwóch osób w sposób uprzywilejowany,
- e) propagowania rozwiązań prawnych mających na celu uprzywilejowanie związków osób tej samej płci,
- f) propagowania możliwości przysposobiania dzieci przez osoby tej samej płci,
- g) propagowania orientacji seksualnych innych niż heteroseksualizm,
- h) propagowania płci jako bytu niezależnego od uwarunkowań biologicznych,
- i) propagowania aktywności seksualnych dzieci i młodzieży przed ukończeniem 18 roku życia

Użyte w przytoczonych przepisach pojęcie „propagowanie” miałyby być zdefiniowane przez art. 10 ust. 2a, który według projektu ustawy miałby otrzymać brzmienie: *„Przez propagowanie rozumie się wszelkie formy upowszechniania, rozpowszechniania, agitowania, lobbowania, twierdzenia, oczekiwania, żądania, zalecania, rekomendowania bądź promowania”*.

Tego wszystkiego, choć nie tylko tego – o czym dalej – miałyby zabraniać ustawa „Stop LGBT”. Nie trudno zauważyć, że wspomniane powyżej zakazy miałyby – gdyby stały się prawem – charakter dyskryminacyjny. I nie chodzi tu tak bardzo o dyskryminację osób LGBT – chociaż taka dyskryminacja też w praktyce miałaby miejsce – lecz o dyskryminację ludzi ze względu na ich poglądy. Zauważmy bowiem jakie demonstracje mogłyby się w świetle przepisów wspomnianej ustaw legalnie odbywać, a jakie nie. I tak np. nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że pod rządami tej ustawy bez przeszkód mogłyby się odbywać zgromadzenia pod takimi hasłami, jak np. „nie dla homomałżeństw” „nie dla homozwiązków” „nie dla związków partnerskich” „nie dla poliamorii” „nie dla homoadopcji” „homoseksualizm nie jest ok.” „nie dla ideologii gender” „nie dla seksu przed 18” – zakazane byłyby natomiast zgromadzenia pod takimi hasłami, jak np. „żądamy prawa do małżeństw dla osób tej samej płci” „tak dla związków partnerskich” „poliamoria jest ok.” „tak dla homoadopcji” „homoseksualizm jest ok.” „gender jest ok.” czy „seks przed 18 jest ok.”. Jeśli ludziom o pewnych poglądach zabrania się ich wyrażania w formie np. publicznych manifestacji – pozwalając jednocześnie na wyrażanie swoich poglądów ludziom mającym

zapatrywania przeciwne, to w sposób oczywisty jest to dyskryminowanie tych pierwszych. Stanowi to naruszenie art. 32 ust. polskiej Konstytucji, który mówi, że „*Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny*”. Z „*jakiegokolwiek przyczyny*” to znaczy także z powodu przekonań w kwestii np. tego, czy małżeństwa jedнопłciowe bądź związki partnerskie powinny być zalegalizowane, czy parom jedнопłciowym powinno się pozwolić na adopcję dzieci, albo czy uprawianie seksu przed ukończeniem osiemnastego roku życia jest, czy też nie jest ok.

Projekt ustawy „Stop LGBT” ma na celu zakazanie nie tylko „marszów równości” w sensie demonstracji, których głównym przesłaniem jest domaganie się równych praw – czy może czymś zdaniem uprzywilejowania – osób o orientacji homoseksualnej. Podczas jakiegokolwiek zgromadzenia, bez względu na jego zasadnicze przesłanie zakazane miałyby być także:

- a) posiadanie i wykorzystywanie jakichkolwiek materiałów, których treść odwołuje się do zagadnień wymienionych w art. 10 ust. 2 ustawy; (o których była tu mowa już wcześniej)
- b) wykorzystywanie symboli religijnych oraz przedmiotów związanych z praktykowaniem obrzędów religijnych w sposób mogący obrazić uczucia religijne innych osób, w tym poprzez ich artystyczne przetworzenie,
- c) wykorzystywanie religii lub nawiązań do religii w kontekście zagadnień wymienionych w art. 10 ust. 2 ustawy;
- d) posiadanie i wykorzystywanie jakichkolwiek przedmiotów o erotycznym lub seksualnym charakterze, w szczególności przedmiotów imitujących narządy rozrodcze,
- e) posiadanie i wykorzystywanie artystycznie przetworzonych godła lub barw narodowych w związku z zagadnieniami, o których mowa w art. 10 ust. 2 ustawy,
- f) posiadanie i wykorzystywanie artystycznie przetworzonych symboli historycznych lub przedmiotów związanych z historią Polski w związku z zagadnieniami, o których mowa w art. 10 ust. 2 ustawy,
- g) uczestnictwo w przebraniach o erotycznym lub seksualnym charakterze,
- h) uczestnictwo nago, oraz,
 - i) Wszelkie zachowania oraz działania godzące w moralność publiczną, w tym w szczególności mogące zgorszyć lub zdemoralizować dzieci lub młodzież w wieku do lat 18

Celem powyższych przepisów miałyby być zakazanie używania podczas publicznych zgromadzeń takich, przykładowo, symboli, jak wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej i Dzieciątka Jezus z aureolami w kolorach tęczy, a także np. Biały Orzeł na tęczowym tle, czy symbol Polski Walczącej umieszczony na takowym. Za nielegalne mogłoby zostać uznane używanie podczas demonstracji takich symboli, jak serduszko, czy napis „kochaj” – można by je było bowiem uznać za przedmioty charakterze erotycznym. Z kolei na podstawie ostatniego przepisu, zabraniającego „*wszelkich zachowań oraz działań godzących w moralność publiczną, w tym w szczególności mogących zgorszyć lub zdemoralizować dzieci lub młodzież w wieku do 18 lat*” potencjalnie rzecz biorąc można byłoby zakazać prezentowania podczas demonstracji haseł o praktycznie dowolnym charakterze. A więc tak samo haseł propagujących np. związki jedнопłciowe, jak i haseł sprzeciwiających się takim związkom – można byłoby przecież twierdzić, że hasła takie mogą zdemoralizować dzieci i młodzież w wieku do 18 lat, ucząc je nietolerancji wobec osób homoseksualnych. Pomysłodawcy ustawy „Stop LGBT” niewątpliwie nie mają na celu tego, by wspomniany przepis był używany w takim celu, jak wspomniany powyżej, ale pojęcia użyte w tym

przepisie są tak pojemne i elastyczne, że użycie ich do zupełnie innych celów, niż te które chcieliby osiągnąć autorzy wspomnianego tu projektu wydaje się absolutnie wyobrażalne.

Odnosząc się do projektu ustawy „Stop LGBT” warto przytoczyć pewne – prawdziwe, czy też rzekome – fakty, o których jest mowa w jego uzasadnieniu. I tak jest tam przytaczana książka „Homoseksualizm. Przegląd światowych analiz i badań. Przyczyny, objawy, terapia, aspekty społeczne” autorstwa niejakiej Beaty Wieczorek, w której, powołując się na różne źródła napisała ona, że „Nieproporcjonalnie duży jest wśród osób homoseksualnych odsetek pedofilów – w zależności od źródła można podać następujące liczby: 36% (Freund i in. 1984), 35% (Freuns i Watson 1992) lub 28% (Erickson i in. 1988). Jay i Young (1979) ustalili, że aż 73% mężczyzn homoseksualnych uprawiało seks z chłopcami będącymi w wieku 16–19 lat lub młodszymi (nie były to badania na temat pedofilii). Odsetek ten jest zdecydowanie większy niż w populacji hetero – Freund i Watson (1992, s. 34) podają, że wynosi 11:1 (heteroseksualni pedofile vs. homoseksualni) (...)”. Przytoczone jest też zawarte w tej książce zdanie, że „Najciemniejszą stroną adopcji homoseksualnej, dopuszczalnej w niektórych krajach, jest możliwość swobodnego i legalnego dostępu gejów – pedofilów do ich ofiar (wiadomo, że pedofilami są w zdecydowanej większości mężczyźni)”. Przytaczane są też oczywiście artykuły prasowe mówiące o zbrodniach dokonanych przez homoseksualistów, np.: „Zatrważająca historia z Australii. Homoseksualni „rodzice” gwałcili adoptowane dziecko” (<https://www.pch24.pl/zatrwarzajaca-historia-z-australii--homoseksualni-rodzice-gwalcili-adoptowane-dziecko-,68525,i.html>), „Co grozi dzieciom wychowanym przez homoseksualistów? Miażdżący raport amerykańskiego socjologa” (<https://wpolityce.pl/polityka/140087-co-grozi-dzieciom-wychowanym-przez-homoseksualistow-miazdzacy-raport-amerykanskiego-socjologa>) „Homoseksualiści na czele największej grupy pedofilskiej” (link nie działa) „Małżeństwo gejów przed sąd. Adoptowane dzieci oskarżają o gwałt” (<https://www.tvn24.pl/wiadomosci-ze-swiata,2/malzenstwo-gejow-przed-sad-adoptowane-dzieci-oskarzaja-o-gwalt,318822.html>) „SKANDAL w USA. Para GEJÓW adoptowała i GWALCIŁA DZIECI” (<https://www.se.pl/wiadomosci/swiat/skandal-w-usa-para-gejow-adoptowaa-i-gwacia-dzieci-aa-DnEn-ZYXo-Z5CP.html>) „Przemoc, gwałty i zabójstwa dokonywane przez „małżeństwa” homoseksualne na dzieciach” (<http://zakazanaprawda.pl/przemoc-gwalty-i-zabojstwa-malzenstw-homoseksualnych-dokonywane-na-dzieciach-masakra/>) „Gwałcili i wypożyczyli pedofilom adoptowane dziecko. Wciąż aktualne – NIE dla gejowskiej adopcji!!!” (<https://www.frona.pl/a/gwalcili-i-wypozyczali-pedofilom-adoptowane-dziecko-wciaz-aktualne-nie-dla-gejowskiej-adopcji,123026.html>). Wspomniane są ponadto słynne (czy jak kto woli osławione) „Standardy edukacji seksualnej w Europie” przygotowane przez Biuro Regionalne WHO dla Europy, w których jakoby jest mowa o tym, że dzieci w wieku od 0 do 4 lat powinny się dowiadywać o masturbacji i nauczyć się postawy „moje ciało należy do mnie”, dzieci w wieku od 4 do 6 lat powinny dowiadywać się o podnieceniu, czy nauczyć się postawy akceptacji dla różnych norm związanych z seksualnością, zaś dzieci w wieku od 6 do 9 lat powinny dowiadywać się o współżyciu, nabyć umiejętność wyznaczania granic swojej seksualności, czy nauczyć się postawy zrozumienia akceptowalnego współżycia” itd.

Odnosnie przytoczonych w uzasadnieniu projektu ustawy „Stop LGBT” danych i faktów można zadać pytanie o to, czy owe dane i fakty są prawdziwe. I tak np. co do wskazanych w owym uzasadnieniu danych na temat związków między homoseksualizmem, a pedofilią wskazać można inne dane, wskazujące na to, że informacje podawane w uzasadnieniu projektu ustawy „Stop LGBT” opierają się na przekłamaniach i manipulacjach. Zob. w tej kwestii np. tu <https://klubjagiellonski.pl/2019/06/09/nie-mozna-laczyc-pedofilii-z-homoseksualizmem/>, tu <https://demagog.org.pl/wypowiedzi/ile-przestepstw-pedofilskich-popelnianych-jest-przez-homoseksualistow/>, albo tu

[geje-molestuja-dzieci-czesciej-niz-heteroseksualisci/](#). Przyjmijmy jednak, dla dobra argumentacji, że to, co zostało napisane w uzasadnieniu projektu ustawy „Stop LGBT” jest prawdą. Czy gdyby tak było, to czy dane te byłyby w ogóle jakoś relewantne w stosunku do proponowanego przez ten projekt zakazu? Aby można było twierdzić, że tak jest, trzeba byłoby choćby podejrzewać, że może istnieć jakiś związek przyczynowo – skutkowy pomiędzy „marszami równości” – których ustawa ta miałaby zabronić – a np. molestowaniem dzieci – tzn. że może być tak, że jacyś ludzie, czy to uczestnicząc w tych marszach, czy przyglądając się nim, czy czytając o nich albo oglądając je w Internecie czy w telewizji staną się homoseksualistami, a następnie pedofilami – czy może też od razu homoseksualnymi pedofilami – zaś końcem tego łańcucha związków przyczynowo – skutkowych będą seksualne przestępstwa przeciwko dzieciom. Odnośnie takiej czysto hipotetycznej drogi od „marszów równości” do seksualnego wykorzystywania dzieci prawdopodobnie nawet najtwardszy zwolennik projektu ustawy „Stop LGBT” przyzna, że tego rodzaju droga nie jest czymś częstym i zgodzi się, iż twierdzenie, że taka droga może istnieć, jest jedynie pewną hipotezą – bo czym innym jest twierdzenie, że homoseksualiści względnie częściej wykorzystują seksualnie dzieci, niż heteroseksualiści (z takimi twierdzeniami w wypowiedziach i publikacjach osób wrogo nastawionych wobec homoseksualistów można się spotkać), a czym innym twierdzenie, że homoseksualistą – czy też, nie wiem, może od razu np. homoseksualnym pedofilem – można zostać pod wpływem „marszów równości” lub ewentualnie innych form – jak to określają ludzie wrogo nastawieni wobec mniejszości seksualnych – „homopropagandy”.

Założmy jednak, że taka droga czasem faktycznie istnieje. Czy gdyby tak było, byłyby to powód do zakazania „marszów równości” – względnie, czego Kaja Godek póki co jeszcze nie zaproponowała – zakazania również innych form promowania homoseksualizmu – a więc np. w prasie, w książkach, czy na stronach internetowych? Otóż, moim zdaniem nie większy, niż to, że fakt, iż wpływ na kogoś propagandy (nie używam tu tego słowa w jego pejoratywnym znaczeniu – chodzi po prostu o przekonywanie do pewnych poglądów – co i ja przecież tutaj i w innych swoich tekstach przecież robię) antyaborcyjnej może doprowadzić go do tego, że popełni on takie np. przestępstwo, jak podpalenie kliniki aborcyjnej czy zamordowanie lekarza wykonującego zabiegi przerwania ciąży. Tego typu przypadki są oczywiście rzadkie. Większość przeciwników dopuszczalności aborcji, nawet bardzo zażartych, nie dopuszcza się czynów gwałtownych w imię swych przekonań. Lecz jednak, jak doskonale wiadomo, zdarzają się ludzie, którzy takie rzeczy robią. I odnośnie tych ludzi trudno sobie wyobrazić to, by robili oni takie rzeczy bez wpływu, jaki wywarły na nich takie czy inne wypowiedzi – czy to prezentowane podczas jakichś marszów obrońców życia poczętego, czy też prezentowane w Internecie, książkach, filmach, przemówieniach, kazaniach itd. Przecież trudno jest sobie wyobrazić, by takiej zbrodni, jak zamordowanie lekarza dokonującego aborcji czy podpalenie kliniki aborcyjnej w imię świętości życia od chwili poczęcia mógł dokonać ktoś, kto pod wpływem takich czy innych wypowiedzi nie nabrał przekonania, że aborcja jest jakąś straszliwą, wołającą o pomstę do nieba zbrodnią. Podobnie, jak trudno jest sobie wyobrazić, by takie przestępstwa, jak podpalanie w imię walki z globalnym ociepleniem samochodów typu SUV czy zabicie jednego ze swych dzieci, próba zabicia drugiego oraz samobójstwo ze strachu przed skutkami globalnego ocieplenia dokonane w 2010 r. przez niejakich Francisco Lotero i Miriam Coletti z Argentyny mogły mieć miejsce, gdyby ich sprawcy czegoś nie nasłuchali się lub nie naczytali się o globalnym ociepleniu – z prostego względu, że niezależnie od tego, czy globalne ocieplenie występuje czy też nie, żaden człowiek bez pośrednictwa w postaci np. takich czy innych danych – a więc w gruncie rzeczy bez pośrednictwa w postaci wypowiedzi – nie jest go w stanie zauważyć. W każdym razie jest możliwe, choć z pewnością zdarza się to rzadko, że pod wpływem takich czy innych aktów ekspresji ktoś może stać się kimś tam – czy to radykalnym antyaborcjonistą, czy kimś

opętanym myślą o walce z globalnym ociepleniem, czy kimś przejętym ideami praw zwierząt bądź ochrony środowiska naturalnego, czy islamistą, czy też np. faszystą albo rasistą i następnie stania się tym kimś coś złego zrobić – i rzadko kto w ogóle proponuje, by głoszenie jakichś poglądów było zakazane z tego powodu, że może mieć ono czasem taki skutek (powiedzmy, że „mowa nienawiści” czy „propagowanie faszyzmu” to w tym względzie pewne wyjątki – które zresztą szereg razy krytykowałem).

Lecz o ile czymś *jakoś tam możliwym* jest to, że ktoś pod wpływem takich czy innych aktów ekspresji – mających miejsce czy to w tradycyjnej, drukowanej prasie bądź w książkach, czy w internecie czy też podczas np. ulicznych parad może nabrać przekonania do jakichś poglądów – albo, że jakieś poglądy zostaną wskutek czegoś takiego w kimś wzmocnione - to nie jest rzeczą możliwą, by tego rodzaju czynniki miały wpływ na czyjąś orientację seksualną. Orientacja seksualna (czy lepiej może mówiąc, biologiczne podłoże tej orientacji – bo przecież np. noworodki nie mają jeszcze żadnej orientacji seksualnej w tym sensie, by orientacja ta się mogła jakoś tam ujawniać) - jest czymś kształtującym się w okresie życia płodowego człowieka. Żadna „homopropaganda” nie ma z tym nic wspólnego.

Jeśli więc argumentem za zakazem „marszów równości” miałyby być to, że ktoś pod wpływem tych marszów może stać się homoseksualistą, a następnie pedofilem, bądź też może od razu homoseksualnym pedofilem, to jest to, za przeproszeniem, argument, kolokwialnie wyrażając się, od czapy. Od czapy są też inne przywoływane w projekcie ustawy „Stop LGBT” argumenty. Jest tam mowa np. o „[Standardach Edukacji Seksualnej w Europie](#)” opracowanych przez europejskie Biuro Regionalne WHO. Odnośnie tych standardów gotów jestem się zgodzić, że są one cokolwiek kontrowersyjne. Nie chcę mówić, czy są one złe, czy też może dobre, ale wolę się na ich temat nie wypowiadać z tego prostego względu, że nie czuję się w jakiegokolwiek mierze specjalistą w takiej dziedzinie, jak seksualność i rozwój seksualny kilkuletnich dzieci. Ponadto jestem zdania, że formalna edukacja szkolna czy przedszkolna, jakkolwiek odbywa się przy użyciu słów, czy innych form ekspresji – bo jakże inaczej – nie jest częścią „wolnego rynku idei” – lecz czymś mogącym podlegać prawnym regulacjom, stanowionym według dwóch – zasadniczo rzecz biorąc – kryteriów: prawdziwości przekazywanej wiedzy i dobra uczniów. Bez trudu można wskazać na treści, których ogólne rozpowszechnianie nie jest czymś zakazanym, i mało kto proponuje, żeby było, a co do których nie ma wątpliwości, że powinny być one częścią nauki w szkole. Gwoli przykładu, nie jest czymś zabronionym propagowanie np. poglądu, że Ziemia jest płaska, albo, że wszystkie żyjące na Ziemi gatunki roślin i zwierząt powstały we względnie niedawnych czasach (tj. kilka tysięcy lat temu) i nie było żadnej ewolucji. Lecz mimo, że takie poglądy nie są – i przynajmniej moim zdaniem absolutnie nie powinny być – prawnie zakazane, to stosunkowo mało kto, jak sądzę, ma wątpliwość odnośnie tego, że edukacja w dziedzinie biologii czy geografii nie powinna opierać się na przekazywaniu tego typu poglądów. Znow, uważałbym za przesadę karanie nauczycieli za jakieś wspomnienie o tego rodzaju poglądach jako o np. swego rodzaju ciekawostce – ot, że są ludzie, którzy tak akurat uważają, i można dyskutować, dlaczego – ale nie ma wątpliwości, że szkolne programy nauczania (przynajmniej w szkołach publicznych) tego rodzaju teorii w ogóle nie powinny uwzględniać. Odnośnie Standardów Edukacji Seksualnej WHO trudno byłoby oczywiście powiedzieć, że są one czymś przypominającym teorię płaskiej Ziemi czy kreacjonizm. Nie ma w nich – jak sądzę – przedstawiania twierdzeń sprzecznych z ustaleniami nauki – co najwyżej są treści mogące budzić u niektórych osób zastrzeżenia natury, ogólnie rzecz biorąc, moralnej – z pewnością temat wychowania seksualnego w szkole, czy już tym bardziej np. w przedszkolu jest czymś wywołującym znane zresztą od lat kontrowersje. Ale powoływanie się w projekcie ustawy „Stop LGBT” na standardy edukacji seksualnej WHO jest czymś „od czapy” z prostego względu, że projekt ten w najmniejszym choćby stopniu nie ma na celu regulowania edukacji szkolnej, czy przedszkolnej (jeśli chodzi o to ostatnie, to taki [projekt](#)

owszem powstał – i przy okazji przy jego użyciu można byłoby karać nie tylko za edukację seksualną w szkołach, ale także za publikowanie np. jakichś „seks opowiadań” w Internecie, jeśli ich bohaterami byłyby osoby w wieku poniżej 18 lat). Kompletną, prymitywną demagogią jest przywoływanie w uzasadnieniu projektu ustawy „Stop LGBT” zawartego w książce Beaty Wieczorek zdania, że *„Najciemniejszą stroną adopcji homoseksualnej, dopuszczalnej w niektórych krajach, jest możliwość swobodnego i legalnego dostępu gejów – pedofilów do ich ofiar”*. O tym, że jest to demagogia najłatwiej można się przekonać wówczas, gdy zdanie to zmieni się, podstawiając słowo „heteroseksualnej” w miejsce słowa „homoseksualnej” oraz „heteroseksualistów – pedofilów” w miejsce „gejów – pedofilów” – co daje: *„Najciemniejszą stroną adopcji heteroseksualnej, dopuszczalnej w niektórych krajach, jest możliwość swobodnego i legalnego dostępu heteroseksualistów – pedofilów do ich ofiar”*. Z tym drugim, będącym wynikiem przeróbki fragmentu książki Beaty Wieczorek zdaniem problem jest taki, że zdanie to najogólniej rzecz biorąc jest prawdziwe. Nie ma wątpliwości co do tego, że zdarza się czasem, że ktoś będący heteroseksualistą adoptuje dziecko i później je molestuje – przypuszczać można, że molestowanie dzieci przez heteroseksualnych pedofilów zdarza się częściej, niż molestowanie dzieci przez homoseksualnych pedofilów - z tego prostego względu, że heteroseksualistów jest w społeczeństwie więcej, niż homoseksualistów. Ponadto, pomijając już merytoryczną ocenę wspomnianego zdania, oczywiste wydaje się, że powoływanie się na to zdanie w uzasadnieniu ustawy mającej zakazać „marszów równości” jest użyciem argumentu nie odnoszącego się do przedmiotu tej ustawy, którym nie jest kwestia adopcji dzieci przez homoseksualistów.

Niewątpliwie więc należy stwierdzić, że projekt ustawy „Stop LGBT” jest zwykłym bublek prawnym i należy zgodzić się z Krzysztofem Śmiszkiem, że projekt ten nadaje się do sejmowego śmietnika. Zgadzać się z posłem Śmiszkiem w tej akurat kwestii warto mieć jednak w pamięci znane chyba wszystkim powiedzonko: przyganiał kocioł garnkowi. Czy Śmiszek nie popierał aby projektów ustaw ograniczających wolności i prawa obywatelskie?

O Krzysztofie Śmiszku wiadomo, że jest on zażartym zwolennikiem zakazów „mowy nienawiści” i zwolennikiem rozszerzenia tych zakazów tak, by obejmowały one nie tylko wypowiedzi odnoszące się – jak to przewidują obowiązujące przepisy – do grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, bądź charakteryzujących się bezwyznaniowością, ale także takie, które odnoszą się do grup charakteryzujących się takimi cechami, jak wiek, płeć, niepełnosprawność, tożsamość płciowa i oczywiście orientacja seksualna.

W czerwcu b.r. Krzysztof Śmiszek podpisał się pod złożonym do łaski marszałkowskiej przez grupę posłanek i posłów Lewicy projektem ustawy, znoszącej przestępstwa zniesławienia i publicznego znieważenia prezydenta i rozszerzającej zapisy dotyczące stosowania przemocy lub groźby bezprawnej wobec grupy osób lub konkretnej osoby z powodu jej określonej cechy, a także nawoływania do nienawiści i znieważania pewnych grup. Przedstawiony przez Lewicę pomysł zmian w kodeksie karnym ma oczywiście aspekty pozytywne. Do tych należą propozycje usunięcia z k.k. przestępstw publicznego znieważania prezydenta, oraz zniesławienia. (3) Choć również odnośnie tych postulatów należy powiedzieć, że mają one charakter połowiczny. Usunięcie z kodeksu karnego art. 135 § 2 stanowiącego, że *„kto publicznie znieważa Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”* nie będzie oznaczało, że obraźliwe wypowiedzi na temat prezydenta nie będą karalne, lub przynajmniej nie będą karalne w większym stopniu, niż są karalne obraźliwe wypowiedzi na temat każdego obywatela. W kodeksie karnym jest jeszcze art. 226 § 3 zgodnie z którym *„kto publicznie znieważa lub poniża konstytucyjny organ Rzeczypospolitej Polskiej, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia*

wolności do lat 2”. Skreślenie z kodeksu karnego przepisu o publicznej zniewadze prezydenta sprawiłoby zatem tyle, że prezydent byłby prawnie chroniony przed obraźliwymi wypowiedziami na swój temat w takim samym stopniu, jak – powiedzmy – Sejm, Senat, Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, Krajowa Rada Sądownictwa, premier, czy rząd (warto przy okazji zwrócić uwagę na niejasność występującego w art. 226 § 3 pojęcia „konstytucyjny organ Rzeczypospolitej Polskiej”. Czy pod pojęciem tym należy rozumieć wyłącznie takie organy, które są *explicite* – czarno na białym – wymienione w konstytucji, czy również takie, które są w niej wskazane w sposób bardziej pośredni? Przykładowo, sądami wymienionymi w konstytucji – a więc z pewnością konstytucyjnymi organami państwa w rozumieniu art. 226 § 3 k.k. są Sąd Najwyższy oraz Naczelny Sąd Administracyjny – oraz rzecz jasna Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. Nie ma w niej wymienionych innych konkretnych sądów, jest tylko mowa o sądach powszechnych, sądach administracyjnych i sądach wojskowych. Czy zatem np. Sąd Rejonowy w Otwocku jest „konstytucyjnym organem Rzeczypospolitej Polskiej” z tego względu, że konstytucja wspomina o sądach powszechnych, do których ten sąd na mocy ustawy się zalicza, czy też nim nie jest, bo konstytucja nie mówi nic o sądzie rejonowym w Otwocku – ani nawet w ogóle o sądach rejonowych?). Wprowadzenie do kodeksu karnego zmian proponowanych przez SLD nie zmieniałoby odziedziczonej po czasach PRL (choć funkcjonującej też – jak najbardziej – w II Rzeczypospolitej) zasady, że władza jest prawnie chroniona przed obraźliwymi stwierdzeniami bardziej, niż jest przed nimi chroniony zwykły obywatel.

Podobnie, co do projektu wykreślenia z kodeksu karnego artykułów 212 – 215 odnoszących się do przestępstwa zniesławienia, to myślę, że jest to dobra propozycja. Zniesławienie może być oczywiście – w niektórych przynajmniej przypadkach – przedmiotem odpowiedzialności prawnej, ale powinna być odpowiedzialność cywilna, a nie karna. Lecz o ile myślę, że zniesławianie innych osób (a także instytucji, osób prawnych itd.) nie powinno być przestępstwem – i z tego względu jestem za wykreśleniem z kodeksu karnego wspomnianych powyżej przepisów – to myślę jednak, że zniesławienie prędzej zasługuje na kryminalizację, niż zniewaga. Zniesławienie, jak wynika z art. 212 § 1 k.k. to pomówienie innej osoby, grupy osób, instytucji, osoby prawnej lub jednostki organizacyjnej nie mającej osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności. Z przepisami dotyczącymi przestępstwa zniesławienia, które Lewica chciałaby usunąć z kodeksu karnego związanych jest niewątpliwie szereg problemów – pisałem kiedyś o tym w [jednym ze swych tekstów](#). Lecz mimo wszystko zwróciłbym uwagę na to, że zniesławienie – tj. pomówienie kogoś o jakieś przestępcze, niemoralne czy nieuczciwe postępowanie – jest czymś, co może wyrządzić komuś realną krzywdę. Wyobraźmy sobie w tym kontekście taki przypadek, że ktoś np. pomawia – czy to w Internecie czy jeszcze gdzieś indziej – pewnego dentystę o niedbalstwo w leczeniu kanałowym zębów. Jakie mogą być skutki takiego pomówienia dla owego dentysty? Ano, oczywiście takie, że ludzie nie będą chcieli korzystać z jego usług, co dla niego samego będzie się wiązało z wymiernymi stratami finansowymi. Zniesławienie nie musi oczywiście prowadzić do faktycznej reputacyjnej czy tym bardziej finansowej szkody, by mogło być karalne – w art. 212 § 1 k.k. mowa jest o pomówieniu kogoś o takie postępowanie lub właściwości, które *mogą* poniżyć go w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności. Właśnie – mogą, niekoniecznie muszą – przestępstwo zniesławienia ma miejsce nawet wówczas, gdy do faktycznego poniżenia kogoś w opinii publicznej lub narażenia go na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności nie dojdzie – np. z tego powodu, że ludzie nie uwierzą w prawdziwość zniesławiającego stwierdzenia na czyjs temat. Ale generalnie rzecz biorąc zniesławienia mogą do

wspomnianych tu – i całkiem przecież dotkliwych dla tyjących się bezpośrednio ich osób – skutków prowadzić.

Dużo trudniej jednak jest to powiedzieć o zniewagach. Zniewaga to – najogólniej rzecz biorąc – odniesienie się do kogoś w sposób obraźliwy, poprzez np. nazwanie go jakimś epitetem. Aby uświadomić sobie różnicę potencjalnej szkodliwości zniesławienia i zniewagi wyobraźmy sobie dwa stwierdzenia na czyjś temat: jedno takie, że ten ktoś kradnie, drugie zaś polegające na nazwaniu go np. durniem. Pierwsze z tych stwierdzeń jest stwierdzeniem faktu, że ten ktoś – do kogo stwierdzenie takie się odnosi – postępuje w niemoralny, nieuczciwy i nie mówiąc już poza tym, że naruszający prawo sposób. Z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że jeśli ludzie dowiadują się o kimś, że ten ktoś (np.) kradnie, to w ich głowach odnośnie tego kogoś zapala się przysłowiowa czerwona lampka, co dla tego kogoś może mieć realne konsekwencje. Takie konsekwencje są jednak mniej prawdopodobne w przypadku nazwania kogoś np. „durniem” czy też „głupkiem” – takie stwierdzenie w oczywisty sposób jest po prostu wyrażeniem opinii – a nawet po prostu chwilowego odczucia – na czyjś temat; warto też zwrócić uwagę, że „durniem” albo „głupkiem” – podobnie, jak np. „kretynem” „idiotą” „debilem” „świnia” itp. można nazwać człowieka z mnóstwa powodów, często też takie określenia padają w złości, pod wpływem emocji. (4) W każdym razie zniesławienie – pomówienie kogoś o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć go w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego zawodu, stanowiska lub rodzaju działalności – dużo prędzej może wyrządzić komuś realną krzywdę, niż znieważenie – czyli po prostu wypowiedzenie czy napisanie na czyjś temat słów powszechnie uznawanych za obraźliwe. Lecz grupa posłów Lewicy, w tym m.in. Krzysztof Śmiszek, chce całkowitego usunięcia z kodeksu karnego przepisów dotyczących zniesławienia, nie postuluje jednak ruszenia przepisów penalizujących zniewagę. Biorąc pod uwagę to, że zniesławienia są – na zdrowy rozum – czymś bardziej szkodliwym dla tyjących się ich osób od zniewag, można zadać pytanie, czy propozycja SLD dotycząca wykreślenia z kodeksu karnego art. 212 – 215 jest propozycją dobrze przemyślaną – tak samo, jak można się zastanawiać nad tym, czy dobrze przemyślaną propozycją jest pomysł usunięcia z k.k. art. 135 § 2 dotyczącego przestępstwa publicznego znieważenia prezydenta, bez jednoczesnego usunięcia z kodeksu karnego innych przestępstw „obrazy władzy” – w tym przede wszystkim art. 226 § 3, zgodnie z którym przestępstwem – zagrożonym dwukrotnie wyższą karą, niż ta, która grozi za znieważenie zwykłego obywatela (a i to tylko wówczas, gdy taka zniewaga ma miejsce w środku masowej informacji) – jest publiczne znieważenie lub poniżenie konstytucyjnego organu RP.

Te jednak propozycje zmian w kodeksie karnym – mimo ich wyraźnej niekonsekwencji – należy – moim zdaniem – ocenić w sposób pozytywny. Dużo większą wątpliwość można mieć jednak odnośnie proponowanych modyfikacji w art. 119 § 1, 256 § 1 i 257 k.k.. Zgodnie z propozycją grupy posłów Lewicy art. 119 § 1, brzmiący obecnie *„Kto stosuje przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”* miałyby zostać sformułowany następująco: *„Kto stosuje przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu bezwyznaniowości, jak również ze względu na płeć, tożsamość płciową, ekspresję płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”*. Z kolei art. 256 § 1 stanowiący obecnie, że *„Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”* miałyby według propozycji, pod którą podpisał się m.in.

Krzysztof Śmiszek przybrać brzmienie: *„Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub wywołuje albo szerzy nienawiść lub pogardę na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, ekspresję płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”*. Wreszcie art. 257 w myśl którego *„Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”* w myśl wspomnianej tu propozycji miałyby brzmieć *„Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu bezwyznaniowości, jak również ze względu na płeć, tożsamość płciową, ekspresję płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”*. Warto zauważyć, że proponowane przez Lewicę zmiany w art. 119 § 1 i 256 § 1 k.k. są, merytorycznie rzecz biorąc, propozycjami zmiany treści także niektórych innych przepisów kodeksu karnego. I tak zmiana art. 119 § 1 w sposób automatyczny zmieniałaby treść art. 126a, zgodnie z którym *„Kto publicznie nawołuje do popełnienia czynu określonego w art. 118, 118a, 119 § 1, art. 120–125 lub publicznie pochwała popełnienie czynu określonego w tych przepisach, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”* – przestępstwem, w przypadku wejścia proponowanej przez Lewicę zmiany w życie stałoby się nie tylko, jak ma to miejsce obecnie publiczne nawoływanie do stosowania przemocy lub groźby bezprawnej wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości lub publiczne pochwalanie takiego stosowania przemocy lub groźb bezprawnych, ale także nawoływanie do stosowania przemocy lub groźby bezprawnej względnie pochwalania przemocy bądź groźby bezprawnej wobec grupy osób lub konkretnej osoby ze względu na płeć, tożsamość płciową, ekspresję płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną”. Z kolei wspomniana powyżej zmiana w art. 256 § 1 k.k. oznaczałaby, że określone w art. 256 § 2 przestępstwo produkowania, utrwalania, sprowadzania, nabywania, przechowywania, posiadania, prezentowania, przewożenia lub przesyłania druku, nagrania lub innego przedmiotu, zawierającego treść określoną w § 1 w celu jego rozpowszechnienia tyczyćby się nie tylko tych druków, nagrań lub innych przedmiotów, które zawierają treści nawołujące do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, ale także zawierających – jak to jest sformułowane w propozycji przedstawionej przez Lewicę – „szerzenie nienawiści lub pogardy” ze względu na takie cechy, jak płeć, tożsamość płciowa, ekspresja płciowa, wiek, niepełnosprawność bądź orientacja seksualna. Zwrócić można przy okazji uwagę na proponowane przez grupę posłów Lewicy wykreślenie zaimka „jej” w art. 119 § 1 i w art. 257 k.k. Według uzasadnienia projektu ma to umożliwić ich interpretację pozwalającą na objęcie ochroną nie tylko osób należących do grup wymienionych w obu przepisach, ale również osób doświadczających dyskryminacji przez utożsamienie z tymi grupami. Inaczej mówiąc, za przestępstwo określone we wspomnianych przepisach mogłoby – według tego uzasadnienia – zostać uznane nie tylko – co jest karalne w oparciu o te przepisy już obecnie – np. pobicie czy znieważenie Żyda, dlatego, że jest on Żydem, ale także pobicie lub znieważenie kogoś nie będącego Żydem, z powodu wzięcia go za Żyda.

Przejdźmy jednak do merytorycznej oceny wspomnianej tu propozycji. Co jest oczywiste to to, że jej celem jest zwiększenie zakresu prawnej ochrony przez tzw. przestępstwami z nienawiści oraz przed tzw. mową nienawiści poprzez rozszerzenie zakresu grup objętych taką ochroną.

Propozycja ta jest po części niekonsekwentna. Pomińmy już pytanie o to, dlaczego tylko te grupy, które wyróżniają się takimi cechami, jak płeć, tożsamość płciowa, ekspresja płciowa, wiek, niepełnosprawność bądź orientacja seksualna powinny – oprócz wymienionych już w obowiązujących przepisach grup narodowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych i cechujących się bezwyznaniowością być szczególnie chronione przed przemocą i groźbami bezprawnymi – oraz publicznym nawoływaniem do takich czynów, a nawet tylko ich pochwalaniem – a także przez publicznym „nawoływaniem do nienawiści” (czy też „wywoływaniem albo szerzeniem nienawiści lub pogardy”) i znieważaniem. Dlaczego (w szczególnie sposób) przed przestępstwami z nienawiści oraz mową nienawiści chronić – powiedzmy – Żydów, Niemców, Kaszubów, Łemków, Prawosławnych, Protestantów, Katolików, Muzułmanów, Buddystów, ateistów – a także według propozycji Lewicy kobiety (choć – trzeba to zauważyć – również i mężczyźni), transseksualistów, transwestytów, osoby stare (choć także i młode – albo w średnim wieku), niepełnosprawnych i osoby np. homoseksualne (choć chciałbym zauważyć, że za orientację seksualną bywa uznawany nie tylko heteroseksualizm czy homoseksualizm lub biseksualizm, ale także [pedofilia](#)) – lecz już nie bezdomnych, bezrobotnych, dawnych pracowników PGR-ów czy mieszkańców terenów popegeerowskich, a także np. rolników, robotników, górników, lekarzy, nauczycieli, sędziów, komorników, czy – z drugiej strony – np. przedsiębiorców, bankierów, ludzi bogatych? Czy ochrona jednych przy braku ochrony drugich przed „hate crimes” i „hate speech” jest zgodna z zasadą, że państwo powinno traktować wszystkich w sposób równy, nikogo nie dyskryminując, ani też nie uprzywilejowując?

Niekonsekwentna jest też – chciałbym to zauważyć – proponowana przez Lewicę ochrona przed przemocą (czy groźbami bezprawnymi) z takich powodów, jak płeć, tożsamość płciowa, ekspresja płciowa, wiek, niepełnosprawność i orientacja seksualna. Możemy to sobie uświadomić, jeśli spojrzymy na propozycję Lewicy, dotyczącą zmian w art. 119 § 1 k.k. z punktu widzenia znanej z prawa amerykańskiego idei ostrzejszego traktowania „hate crimes” – czyli „przestępstw z nienawiści” niż innych przestępstw. (5) Kwestia tego, czy przestępstwa, których sprawcy wybierają swoje ofiary z takich powodów, jak np. rasa, narodowość, orientacja seksualna, trans płciowość, wiek, czy płeć swoich ofiar powinny być zagrożone wyższymi karami niż takie same przestępstwa, których sprawcy nie wybierają jednak swoich ofiar według tego rodzaju kryteriów niewątpliwie jest kwestią dyskusyjną – tu akurat nie chcę podejmować próby oceny, czy tego rodzaju pomysł jest generalnie rzecz biorąc słuszny, czy też nie. Powiedzmy jednak na czym pomysł, który zadomowił się na dobre w prawie amerykańskim polega. A polega on z reguły po prostu na tym, że jeśli ktoś dokonuje jakiegoś przestępstwa – takiego, jak np. pobicie kogoś, podpalenie, włamanie, kradzież itd. – wybierając swą ofiarę z powodu takich jej cech, jak np. jej narodowość, rasa, wyznanie, orientacja seksualna, tożsamość płciowa (oczywiście, listy przestępstw, które mogą zostać zakwalifikowane jako „przestępstwa z nienawiści” i powodów, dla których wskazane przestępstwa mogą zostać uznane za „hate crimes” różnią się w zależności od stanu) – to dokonany przez niego czyn kwalifikowany jest jako przestępstwo wyższej kategorii, niż takie samo przestępstwo, którego sprawca nie wybierałby jednak swej ofiary z powodu pewnych, ustawowo określonych jej cech. I tak np. czyn będący normalnie wykroczeniem klasy A (A class misdemeanor – na ogół jest to przestępstwo zagrożone karą grzywny lub więzienia do roku) w przypadku, gdy stanowi on „hate crime” staje się np. zbrodnią klasy E (E class felony – np. w [Prawie Karnym Nowego Jorku](#) przewidziana jest za to kara do 4 lat więzienia), zbrodnią klasy E, w przypadku, gdy stanowi ona „hate crime” staje się zbrodnią klasy D itd. Oczywiście, w polskim prawie nie bardzo by to tak mogło działać, z tego choćby względu, że przestępstwa określone w kodeksie karnym nie są kwalifikowane jako np. zbrodnie czy występki klas – powiedzmy – A, B, C, D itd. Ale zupełnie możliwe byłoby wprowadzenie np. przepisu, że jeśli ktoś popełnia przestępstwo przeciwko jakiejś osobie (tu, myślę, powinna być

wymieniona lista specyficznych przestępstw) wybierając tę osobę jako ofiarę przestępstwa z powodu takich jej cech, jak rzeczywista, czy też postrzegana przez siebie przynależność narodowa, etniczna, rasowa, polityczna, wyznaniowa, a także z takich powodów, jak płeć, tożsamość płciowa, wiek, niepełnosprawność czy orientacja seksualna danej osoby to sąd może wymierzyć mu karę, której górna granica jest wyższa o np. 50% niż w przypadku takiego samego przestępstwa, którego sprawca nie wybiera jednak swej ofiary z któregoś z takich akurat powodów. Lewica nie zaproponowała jednak takiego – ani żadnego podobnego – rozwiązania – zaproponowała jedynie zmianę art. 119 § 1 k.k., polegającą na wskazaniu dodatkowych, w stosunku do obecnego brzmienia tego przepisu cech, z powodu których stosowanie przemocy lub groźby bezprawnej miałyby być określonym w tym przepisie przestępstwem.

Łatwo jest zauważyć, że art. 119 § 1 k.k. może działać jako przepis zaostrzający odpowiedzialność karną za „hate crimes” tylko w przypadku tych przestępstw, które zagrożone są karą niższą, niż 5 lat więzienia. Nie działa on w ten sposób w przypadku przestępstw zagrożonych karą 5 lat pozbawienia wolności lub wyższą. Jakie są tego konsekwencje, można wykazać w oparciu o następujący przykład. Wyobraźmy sobie, że ktoś bije kogoś z tego powodu, że jest on np. osobą o ciemnym kolorze skóry – albo (jeśli propozycja Lewicy stałaby się obowiązującym prawem) z takiego powodu, że jest on gejem i powoduje u niego obrażenia skutkujące naruszeniem narządu ciała lub rozstrojem zdrowia na czas nieprzekraczający 7 dni. Normalnie umyślny czyn powodujący tego rodzaju skutek jest, zgodnie z art. 157 § 2 k.k. zagrożony karą grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2. Jednak ktoś, o kim tu jest mowa bije kogoś – powodując u niego lekkie obrażenia – z tego powodu, że jest on Murzynem, albo z tego, że jest on gejem. Niewątpliwie więc działa on w sposób przestępczy z powodu przynależności rasowej lub orientacji seksualnej ofiary i bez wątpienia stosuje o też przemoc – bo przecież bicie kogoś jest klasycznym przypadkiem stosowania przemocy. W takim, jak opisany powyżej przypadku art. 119 § 1 k.k. mógłby zadziałać jako przepis zaostrzający odpowiedzialność karną za „hate crime” – sprawca takiego, jak wspomniany powyżej czynu mógłby trafić do kryminału nawet na 5 lat, a nie tylko na 2 lata, co normalnie grozi za umyślne spowodowanie lekkiego uszkodzenia ciała. Ale zmodyfikujmy nieco przytoczony tu przykład i wyobraźmy sobie, że ktoś bije kogoś z powodu jego np. przynależności rasowej, czy jeszcze innej cechy wskazanej w art. 119 § 1 k.k. cokolwiek mocniej i powoduje u niego obrażenia mające skutek w postaci naruszenia czynności narządu ciała na okres powyżej 7 dni. Przestępstwo, którego ten ktoś dokonuje jest, zgodnie z art. 157 § 1 k.k. zagrożone karą od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności. Lecz identyczna kara grozi za przestępstwo określone w art. 119 § 1 k.k. W takim, jak opisany powyżej przypadku art. 119 § 1 k.k. nie zaostrza odpowiedzialności za przestępstwo polegające na stosowaniu przemocy z tego powodu, że przestępstwo to jest przestępstwem z nienawiści. W oczywisty sposób jest on też całkowicie bezużyteczny jako przepis zaostrzający odpowiedzialność karną za „hate crimes” w przypadku przestępstw zagrożonych wyższymi karami – takich, jak przerwanie ciąży bez zgody kobiety ciężarnej bądź doprowadzenie do aborcji przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem (art. 153, 154 k.k.), spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu (art. 156 k.k.), czy udział w bójce lub pobiciu, którego następstwem jest ciężki uszczerbek na zdrowiu albo śmierć człowieka (art. 158 § 2 i art. 158 § 3 k.k.), względnie udział w bójce lub pobiciu człowieka z użyciem broni palnej, noża lub innego podobnie niebezpiecznego przedmiotu (art. 159 k.k.). Jeśli ktoś poważnie uważa, że „przestępstwa z nienawiści” powinny być zagrożone surowszymi karami niż inne, fizycznie całkiem podobne do nich przestępstwa, to, logicznie rzecz biorąc, powinien być on za zaostrzeniem odpowiedzialności karnej za pewne przestępstwa, z tego względu, że stanowią one „hate crimes” nie tylko w przypadku przestępstw (względnie) drobnych, ale też w przypadku przestępstw poważnych – takich, za które grozi więcej, niż 5

lat odsiadki. Lewica jednak, jak widać, jest za tym, aby zwalczać przemoc przeciwko np. kobietom, osobom w podeszłym wieku, osobom niepełnosprawnym czy LGBT za pomocą zwiększenia kar grożących za stosowanie takiej przemocy, pod warunkiem jednak, że nie chodzi o przemoc zbytnio poważną.

Ale dobra. Przemoc, to przemoc – i ona oczywiście powinna być karalna. Ale projekt Lewicy nie przewiduje kar tylko i wyłącznie za stosowanie przemocy – czy też powiedzmy, za stosowanie „grózb bezprawnych” – pod którym to pojęciem zgodnie z art. 115 § 12 k.k. należy rozumieć zarówno gróźbę, o której mówi art. 190, zgodnie z którym (a dokładnie z jego § 1) *„Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę osoby najbliższej, jeżeli groźba wzbudza w zagrożonym uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”* jak również gróźbę spowodowania postępowania karnego lub innego postępowania, w którym może zostać nałożona administracyjna kara pieniężna, a także rozgłoszenia wiadomości uwłaczającej czci zagrożonego lub jego osoby najbliższej; przy czym zgodnie z art. 115 § 12 k.k. nie stanowi takiej bezprawnej groźby zapowiedź spowodowania postępowania karnego lub innego postępowania, w którym może zostać nałożona administracyjna kara pieniężna, jeżeli ma ona jedynie na celu ochronę prawa naruszonego przestępstwem lub zachowaniem zagrożonym administracyjną karą pieniężną. Przewiduje on także rozszerzenie zakresu karalności „mowy nienawiści” częściowo przez objęcie ochroną przed taką „mową” grup, które dotychczas nie były przed nią prawnie chronione, jak również przez zmianę określenia – mówiąc językiem prawniczym – „czynności sprawczej” jednego z określonych w kodeksie karnym przestępstw „mowy nienawiści”.

Owa zmiana określenia czynności sprawczej przestępstwa miałyby dotyczyć czynu określonego w art. 256 § 1 k.k. W swej obecnej, obowiązującej od 1998 r. wersji (pierwotnie był to po prostu art. 256 k.k.) przepis ten stanowi, że *„Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”*. Według propozycji grupy posłów Lewicy ten sam przepis miałby brzmieć następująco: *„Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub wywołuje albo szerzy nienawiść lub pogardę na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, ekspresję płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”*.

Jak widać, o ile art. 256 § 1 k.k. w wersji obecnej zabrania (publicznego) „nawoływania do nienawiści” na tle wskazanych w nim rodzajów różnic między ludźmi i grupami ludzi, to w wersji proponowanej przez Lewicę miałby on zabraniać (publicznego) „wywoływania albo szerzenia nienawiści lub pogardy” z powodów, o których w tym przepisie według propozycji Lewicy miałyby być mowa.

Co merytorycznie miałyby spowodować zmiana w art. 256 § 1 k.k. określenia „nawołuje do nienawiści” na „wywołuje albo szerzy nienawiść lub pogardę” nie jest dla mnie całkiem jasne. Występujące w obecnej wersji art. 256 § 1 k.k. określenie „nawoływanie do nienawiści” to – co tu dużo mówić – raczej mętne pojęcie. Przede wszystkim – co chyba dla każdego jest oczywiste – nienawiść jest emocją. Co do tej emocji z pewnością można powiedzieć, że jest to emocja jednocześnie negatywna i silna, ale trudno powiedzieć, gdzie są jakieś granice owej emocji. Gdzie kończy się np. niechęć – „nawoływanie” do której nie jest karalne, a zaczyna „nienawiść” za „nawoływanie” do której można nawet trafić do więzienia? Podobnie z „nawoływaniem” – pod tym pojęciem w przypadku przestępstwa określonego w art. 256 § 1 k.k. należy rozumieć publiczne wypowiedzi mające zachęcić, przekonać,

pobudzić słuchaczy, czytelników czy też widzów do nienawiści wobec jakichś ludzi z powodu ich narodowości, przynależności etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu ich bezwyznaniowości. To, czy skutek taki zostanie wskutek „nawoływania do nienawiści” osiągnięty czy też nie – a nawet to, czy jego osiągnięcie było w danym przypadku prawdopodobne – jest, jeśli chodzi o zaistnienie przestępstwa z art. 256 § 1 k.k. bez znaczenia. Przestępstwo określone we wspomnianym przepisie jest bowiem przestępstwem bezskutkowym – zostaje ono popełnione w momencie publicznego nawoływania do nienawiści na tle wymienionych w tym przepisie różnic bez względu na rezultat owego nawoływania.

Lecz jednak przestępstwo z art. 256 § 1 k.k. w wersji zaproponowanej przez Lewicę miałyby być – przynajmniej po części – przestępstwem *skutkowym*. W projekcie, o którym tu jest mowa miałyby się znaleźć określenie „wywołuje albo szerzy nienawiść lub pogardę”. Do tego, żeby kogoś skazać za „wywołanie” nienawiści albo pogardy trzeba byłoby wykazać, że ten ktoś jakąś swoją wypowiedzią czy publikacją wywołał u kogoś uczucie nienawiści bądź pogardy wobec jakichś ludzi z powodu ich przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej, bezwyznaniowości, albo ze względu na płeć, tożsamość płciową, ekspresję płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną. Udowodnienie wywołania nienawiści lub pogardy wobec jakiejś grupy osób z reguły nie byłoby sprawą prostą. Oczywiście, wymóg udowodnienia faktycznego wywołania nienawiści lub pogardy można byłoby – najprawdopodobniej skutecznie – obejść, kwalifikując wypowiedzi odnoszące się w sposób nienawistny czy też pogardliwy wobec grup narodowościowych, rasowych i innych wskazanych w art. 256 § 1 k.k. nie jako przestępstwo „wywołania nienawiści” lecz jako usiłowanie popełnienia takiego przestępstwa, co zgodnie z art. 14 § 1 k.k. zagrożone jest taką samą karą, jak jego dokonanie. Lecz z punktu widzenia celu, jaki przyświeca Lewicy – a celem tym jest niewątpliwie „przykręcenie śruby” „siewcom nienawiści” pomysł zmiany występującego w art. 256 § 1 k.k. określenia „nawoływanie” – które oznacza po prostu zachęcanie, czy pobudzanie, ale nie implikuje żadnego skutku jako warunku zaistnienia przestępstwa na określenie „wywołuje” które implikuje taki skutek wydaje się cokolwiek dziwne. W myśl projektu Lewicy przestępstwem miałyby być jednak nie tylko publiczne „wywoływanie” nienawiści, ale także jej „szerzenie”. To ostatnie określenie jest dla mnie cokolwiek zagadkowe. Co miałyby oznaczać „szerzenie nienawiści lub pogardy”? Na mój rozum, to chyba powodowanie tego, że nienawiść lub pogarda wobec jakichś grup osób się szerzy, czyli, że zwiększa się jej zakres – przybywa nienawistników. No, ale jeśli tak by to miało być, to niczym by się to nie różniło od „wywoływania” nienawiści lub pogardy. Każdy, kto ma minimalne choćby pojęcie o prawie wie chyba o tym, że jeśli w jakimś przepisie prawnym występują różne – np. choćby dwa – podobne określenia – to mimo swego podobieństwa nie mogą one znaczyć tego samego. Co więc mogłoby się kwalifikować jako „szerzenie nienawiści lub pogardy”? Może po prostu samo wypowiedzanie nienawistnych bądź pogardliwych stwierdzeń o wymienionych *implicite* w art. 256 § 1 k.k. grupach, nawet bez intencji pobudzania takiej nienawiści lub pogardy? Choć wydaje mi się, że intencja pobudzania – czy też „szerzenia” nienawiści lub pogardy musiałaby być warunkiem popełnienia przestępstwa z art. 256 § 1 k.k., z tego prostego względu, że miałyby w nim chodzić o przestępstwo umyślne – sprawca takiego przestępstwa musiałby co najmniej zdawać sobie sprawę z tego, że szerzy nienawiść lub pogardę wobec wskazanych w tym przepisie grup osób i godzić się z tym – przy założeniu, że przestępstwo to można byłoby popełnić nie tylko z zamiarem bezpośrednim, ale także z zamiarem ewentualnym. Odnośnie jednak propozycji wykreślenia z art. 256 § 1 słowa „nawoływanie” i zastąpienia go innym wyrażeniem chciałbym zauważyć jedną rzecz: określenie „nawoływanie do nienawiści” jest określeniem nieprecyzyjnym, bo nie może być ono precyzyjne, z tego prostego względu, że nieprecyzyjnym pojęciem jest sama „nienawiść” – będąca emocją, która nie ma jasnych,

bezsportnych i oczywistych dla każdego granic. Ale czegokolwiek złego nie powiedzieć by o pojęciu „nawoływania do nienawiści” samo pojęcie nawoływania ma w historii polskiego prawa karnego sporą tradycję. Występowało ono – lub nadal występuje – w szeregu przepisach – np. takich, które zabraniały [nawoływania do czynów skierowanych przeciwko jedności sojuszniczej z państwem sprzymierzonym](#), do czynów skierowanych przeciwko reformie rolnej, do waśni na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość i oczywiście w takich, które zabraniają publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa. Niektóre z wymienionych tu przepisów, w których występowało pojęcie „nawoływania” uchodzą dziś za mało chwalebne i oczywiście nie mam najmniejszego zamiaru ich bronić. To, co chciałbym powiedzieć, to tyle, że pojęcie „nawoływania” do tego czy tamtego – w tym, w czasach współczesnych – do nienawiści jest pojęciem znanym polskiemu prawu i to od dziesięcioleci. Pojęcie to jest – można powiedzieć – częścią języka niektórych polskich aktów prawnych – zarówno historycznych, jak i współczesnego, jakim jest kodeks karny. Natomiast pojęcie „szerzenia nienawiści” – czy też „szerzenia nienawiści lub pogardy” jest jak dla mnie pojęciem rodem z publicystyki. Użycie takiego pojęcia w kodeksie karnym jest, jak dla mnie, użyciem w akcie prawnym pojęcia rodem z gazety – w której może ono, swoją drogą, całkiem dobrze brzmieć.

Najważniejsze jednak pytanie o zakaz „mowy nienawiści” jest takie, czy zakaz taki powstrzymuje faktyczną nienawiść (albo pogardę) i zapobiega jej skutkom – takim, jak przestępstwa z nienawiści w rodzaju np. pobicie, przypadków dewastacji mienia, czy zastraszania ludzi z takich powodów, jak ich przynależność narodowościowa, rasowa, religijna, orientacja seksualna itd.?

To jest akurat nader wątpliwe. Można to sobie uświadomić, jeśli porówna się liczby przestępstw z nienawiści – takich właśnie, jak np. pobicia z powodu rasy, narodowości itd. odnotowywane w Stanach Zjednoczonych, w których „mowa nienawiści” – poza szczególnymi jej przypadkami, takimi, jak bezpośrednie zagrożenie innym ludziom przemocą, uporczywe, werbalne prześladowanie innych ludzi, bezpośrednie napaści słowne twarzą w twarz mogące wywołać gwałtowną reakcję zaatakowanego, czy wreszcie bezpośrednio niebezpieczne w konkretnej sytuacji intencjonalne podburzanie do natychmiastowego popełnienia przestępstwa nie jest karalna – z ilością takich przestępstw w niektórych krajach europejskich, w których „mowa” taka jest traktowana jako przestępstwo.

Niedawno, na podstawie danych przedstawionych na [stronie internetowej FBI poświęconej przestępstwom z nienawiści](#) oraz publikacji unijnej [Agencji Praw Podstawowych](#) dotyczących antysemityzmu w krajach członkowskich UE obliczyłem, ile aktów bezpośredniej fizycznej przemocy o podłożu antysemickim przeciwko Żydom przypadało na milion mieszkańców USA, Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Szwecji oraz Austrii w latach 2005 – 2018 (dane dotyczące Austrii od 2009 do 2017 r.). Zrobione przez mnie zestawienie wygląda następująco:

r. 2005:

USA 0,24, razem z podpaleniami (4 przestępstwa) 0,25, Francja 1,58 (w tym być może także podpalenia i akty terroru), Wielka Brytania – 1,35, Niemcy - 0,68, Szwecja - 1,24.

r. 2006 :

USA 0,31, razem z podpaleniami (8 przestępstw) 0,34, Francja 2,17 (uwaga j.w.) Wielka Brytania - 1,88, Niemcy – 0,62, Szwecja – 0,84.

r. 2007:

USA – 0,22, razem z podpaleniami (1 przestępstwo) 0,23, Francja – 1,66 (uwaga j.w.), Wielka Brytania 1,92, Niemcy – 0,78, Szwecja – 0,99.

r. 2008:

USA – 0,31, razem z podpaleniami (4 przestępstwa) 0,32, Francja – 1,38 (uwaga j.w.), Wielka Brytania – 1,43, Niemcy – 0,57, Szwecja – 1,85

r. 2009:

USA – 0,33, razem podpaleniami (8) 0,35, Francja – 1,42 (uwaga j.w.), Wielka Brytania – 1,99, Niemcy – 0,5, Szwecja – 2,16, Austria – 0,84.

r. 2010:

USA – 0,27, Francja – 0,88, Wielka Brytania – 1,84, Niemcy – 0,45, Szwecja – 1,61, Austria – 0,48.

r. 2011:

USA – 0,20, Francja – 0,88, Wielka Brytania – 1,50, Niemcy – 0,36, Szwecja – 1,49, Austria – 0,48.

r. 2012:

USA – 0,33, Francja – 1,56, Wielka Brytania – 1,09, Niemcy – 0,51, Szwecja – 1,48, Austria – 0,71.

r. 2013:

USA – 0,26, Francja – 0,76, Wielka Brytania – 1,27, Niemcy – 0,63, Szwecja – 0,42, Austria – 0,83.

r. 2014:

USA – 0,23, Francja – 1,63, Wielka Brytania – 1,26, Niemcy – 0,56, Szwecja – 1,24, Austria – 1,06.

r. 2015:

USA – 0,35, Francja – 1,46, Wielka Brytania – 1,34, Niemcy – 0,44, Szwecja – 0,82, Austria – 0,23.

r. 2016:

USA – 0,25, Francja – 0,63, Wielka Brytania – 1,65, Niemcy – 0,41, Szwecja – 1,02, Austria – 0,80

r. 2017:

USA – 0,23, Francja – 0,45, Wielka Brytania – 2,26, Niemcy – 0,45, Szwecja – brak danych, Austria – 0,57.

r. 2018:

USA - 0,33, Francja – 1,21, Wielka Brytania – 1,90, Niemcy – 0,83, Szwecja – 0,59, Austria – brak danych.

Jak widać przypadająca na statystyczny milion mieszkańców danego kraju liczba fizycznych napaści o podłożu antysemitycznym na Żydów była w latach 2005 – 2018 zawsze najmniejsza w niezabraniających antysemitycznej „hate speech” Stanach Zjednoczonych (z jednym, jedynym wyjątkiem – Austrii w 2015 r.), pomimo, że Żydzi – a więc potencjalne ofiary antysemitycznych przestępstw – stanowią kilka czy nawet kilkanaście razy większy odsetek ludności USA, niż ludności któregośkolwiek ze wspomnianych tu państw (odsetek Żydów w populacji Niemiec jest ponad 12 razy mniejszy, niż w populacji USA, odsetek Żydów w populacji Austrii jest przeszło 13 razy mniejszy).

A jak w porównaniu z USA wyglądają liczby „przestępstw z nienawiści” przeciwko osobom LGBT w zakazujących „mowy nienawiści” skierowanej przeciwko takim osobom niektórych krajach europejskich?

Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to obecnie zostały już opublikowane dane na temat przestępstw z nienawiści stwierdzonych w 2019 r. Z danych tych wynika, że rozmaite jednostki policyjne w USA odnotowały w 2019 r. łącznie 1395 przestępstw z nienawiści motywowanych orientacją seksualną ich ofiar, 224 przestępstw z powodu czyjejś tożsamości płciowej, a także 80 „hate crimes” z powodu płci. Największa grupa przestępstw – 867 – była skierowana przeciwko homoseksualnym mężczyznom, drugie miejsce, w liczbie 342 zajmowały przestępstwa przeciwko mieszanej grupie gejów, lesbijek, biseksualistów i transseksualistów. 173 przestępstwa z nienawiści zostały popełnione przeciwko osobom transpłciowym, zaś 51 przeciwko osobom nie stosującym się do standardów ubioru czy zachowania stereotypowo przypisywanych jako właściwe dla ich fizycznej płci (tak chyba należy rozumieć znajdujące się w statystyce FBI pojęcie „Anti-Gender Non-Conforming”). Wśród przestępstw z nienawiści z powodu płci 62 były skierowane przeciwko mężczyznom, zaś 18 przeciwko kobietom. Dodać jeszcze można, że grupie przestępstw z nienawiści z powodu czyjejś orientacji seksualnej były 142 przestępstwa przeciwko lesbijkom, 27 przestępstw przeciwko osobom biseksualnym i 17 przestępstw przeciwko heteroseksualistom. Wśród przestępstw z nienawiści z powodu orientacji seksualnej odnotowano w USA 2019 r. 7 zabójstw, 6 gwałtów, 246 „pogorszonych napaści” (aggravated assaults), 438 zwykłych napaści (simple assaults), 359 przypadków zastraszania, 1 przypadek handlu ludźmi lub „komercyjnych aktów seksualnych”, 4 inne przestępstwa przeciwko osobom, 47 rozbojów, 12 włamań, 25 kradzieży, 1 kradzież pojazdu mechanicznego, 4 podpalenia, 233 przypadki wandalizmu lub zniszczenia/uszkodzenia własności, 2 inne przestępstwa przeciwko mieniu i 10 „przestępstw przeciwko społeczeństwu”. Wśród przestępstw przeciwko osobom transpłciowym bądź zachowującym się w sposób nietypowy dla swej fizycznej płci stwierdzono 1 zabójstwo, 5 gwałtów, 51 „pogorszonych napaści”, 80 „zwykłych napaści”, 37 przypadków zastraszania, 4 inne przestępstwa przeciwko osobom, 3 rozboje, 5 włamań, 13 kradzieży, 15 przypadków wandalizmu/zniszczenia mienia, 6 innych przestępstw przeciwko własności i 4 „przestępstwa przeciwko społeczeństwu”. Z kolei wśród przestępstw z nienawiści z powodu płci były 3 gwałty (co ciekawe, został zgwałcony 1 mężczyzna), 7 „pogorszonych napaści”, 27 zwykłych napaści, 18 przypadków zastraszania, 4 inne przestępstwa przeciwko osobom, 1 rozbój, 3 włamania, 1 kradzież, 1 podpalenie, 12 przypadków wandalizmu/zniszczenia własności oraz 3 „przestępstwa przeciwko społeczeństwu”.

Spróbujmy porównać dane na temat liczb tych przestępstw z danymi na temat liczb podobnych przestępstw odnotowanych w niektórych krajach europejskich, które – w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych – uznają „mowę nienawiści” skierowaną przeciwko takim grupom, jak osoby LGBT za przestępstwo. Zaznaczyć trzeba, że dane na temat „hate crimes” w tych krajach są na ogólnie rzecz biorąc bardziej ogólnikowe, niż podawane przez FBI w przypadku USA, ale z np. z informacji przedstawionych na [poświęconej „przestępstwom z nienawiści” stronie Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie](#) niekiedy całkiem wiele daje się wyczytać.

Weźmy więc na przysłowiowy pierwszy ogień dane na temat liczby przestępstw z nienawiści przeciwko osobom LGBT w Niemczech. Z wykresu przedstawionego na wspomnianej powyżej stronie OBWE wynika, że w oficjalnych policyjnych statystykach takich akurat przestępstw odnotowano 248 – było wśród nich 1 zabójstwo, 140 fizycznych napaści na osoby, 11 kradzieży i/lub rozbojów, 67 przypadków zniszczenia/uszkodzenia własności i 29 przypadków gróźb i groźących zachowań. Biorąc pod uwagę, że ludność Niemiec liczyła w

2019 r. 83,02 mln osób, na milion mieszkańców tego kraju przypadało – jeśli brać oficjalne policyjne dane za miarodajne – 2,99 wspomnianego rodzaju „hate crimes” przeciwko osobom LGBT – to liczba ta była wyraźnie mniejsza od przypadającej na statystyczny milion mieszkańców liczby przestępstw z nienawiści przeciwko osobom LGBT w Stanach Zjednoczonych, która – jak można policzyć na podstawie statystyki „hate crimes” opublikowanej przez FBI, wynosiła 5,24 (wielkość tę obliczyłem dzieląc liczbę takich przestępstw, według statystyki FBI wynoszącą 1599 przez liczbę ludności obszarów, z których napływały do FBI dane na temat „przestępstw z nienawiści” – liczba została oceniona na 305 284 239 osób i była nieco mniejsza od całkowitej liczby ludności USA, która w 2019 r. wynosiła ok. 328,2 mln osób).

Lecz „hate crimes” przeciwko osobom LGBT mogło być w 2019 r. w Niemczech znacznie więcej, niżby to wynikało z oficjalnych policyjnych statystyk. Jak wynika z nieoficjalnych danych, które również zostały przedstawione na wspomnianej stronie OBWE wśród przestępstw takich odnotowano 317 aktów przemocy przeciwko osobom – co na milion mieszkańców Niemiec daje 3,81 takich czynów. Porównajmy tę liczbę z liczbą wszystkich aktów przemocy przeciwko osobom LGBT w 2019 r. w Stanach Zjednoczonych, które zostały uwzględnione w statystyce FBI – obliczając tę liczbę przyjąłem, że za przestępstwa z użyciem przemocy należy uznać morderstwa, gwałty, fizyczne napaści na osoby, rozboje, oraz – dla dobra argumentacji – podpalenia (wprawdzie rozboje i podpalenia są przestępstwami raczej przeciwko mieniu, niż przeciwko osobom, ale są to też – a w każdym razie bywają – przestępstwa bezpośrednio fizycznie niebezpieczne dla osób i pierwsze z nich wiąże się z użyciem lub groźbą natychmiastowego użycia przemocy przeciwko osobie). Wszystkich takich przestępstw według statystyki FBI odnotowano w 2019 r. w Stanach Zjednoczonych 888, co podzielone przez wspomnianą już liczbę ludności zamieszkującej tereny z których do FBI napływały dane o „hate crimes” daje 2,91. Mogłoby więc z tego wynikać, że na milion mieszkańców zabraniających „mowy nienawiści” – w tym także tej skierowanej przeciwko osobom LGBT – Niemiec przypadało więcej przestępstw z nienawiści z użyciem przemocy przeciwko takim osobom. Jak wygląda porównanie, jeśli chodzi o inne typy „hate crimes” przeciwko osobom LGBT w Niemczech i w USA w 2019 r.? Według nieoficjalnych danych przedstawionych na stronie OBWE wśród odnotowanych w 2019 r. w Niemczech przestępstw z nienawiści przeciwko wspomnianej grupie osób były 184 przypadki gróźb. W Stanach Zjednoczonych przypadków takich, według statystyki FBI było 396. Ile to daje wspomnianego rodzaju „hate crimes” na milion mieszkańców obu wspomnianych tu krajów? Otóż, na milion mieszkańców Niemiec 2,22. Natomiast na milion mieszkańców USA 1,30. Sugeruje to, że przypadki zastraszania ludzi z powodu ich orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej w zabraniających (także „homofobicznej” i „transfobicznej” hate speech Niemczech były proporcjonalnie częstsze, niż w niezakazujących żadnej „mowy nienawiści” Stanach Zjednoczonych.

Ale powiedzmy, że porównanie przypadających na milion mieszkańców danego kraju liczb przestępstw z nienawiści przeciwko osobom LGBT w USA i w Niemczech jest niejednoznaczne – oficjalne, policyjne dane sugerują, że na milion mieszkańców Niemiec przestępstw takich przypadało mniej, niż na milion mieszkańców USA. Oparcie się w przypadku Niemiec na przedstawionych na stronie OBWE danych nieoficjalnych sugeruje coś odwrotnego – lecz pytanie, co z analogicznymi danymi na temat liczby „hate crimes” przeciwko osobom LGBT w USA – niestety, danych takich nie da się w Internecie znaleźć. Bardzo możliwe, że przestępstw takich było więcej, niżby to wynikało ze statystyki FBI – odnośnie Niemiec sądzę, że bliższą prawdzie liczbą „hate crimes” przeciwko osobom LGBT była nieoficjalna liczba 548 (która i tak była niepełna, gdyż – najprawdopodobniej przynajmniej – nie zostały w niej uwzględnione przestępstwa przeciwko własności) niż odnotowana w statystykach policji liczba 248. Jak było naprawdę, trudno jest wiedzieć, nie

będąc Panem Bogiem. Ale jakkolwiek z pewnością istnieje – znaczna, być może, „ciemna liczba” „przestępstw z nienawiści” (podobnie, jak istnieją ciemne liczby wszelkiego rodzaju przestępstw) to mimo wszystko przypuszczam, że oficjalne liczby „hate crimes” pozostają w jakiejś mniej więcej stałej proporcji w stosunku do ich liczb rzeczywistych. Mając na względzie takie założenie, chciałbym porównać też liczby przestępstw z nienawiści przeciwko osobom LGBT w kilku innych krajach europejskich – które zabraniają obecnie „mowy nienawiści” przeciwko tej grupie osób – i w Stanach Zjednoczonych, w których „hate speech” jest uznawana za konstytucyjnie chroniony rodzaj ekspresji.

Weźmy więc tym razem Francję. Według danych przedstawionych na stronie OBWE w 2019 r. w tym kraju odnotowano 1121 przestępstw z nienawiści z powodu orientacji seksualnej, tożsamości płciowej lub płci. Biorąc pod uwagę, że liczba ludności Francji wynosiła w 2019 r. 66,99 mln osób, można policzyć, że na milion mieszkańców tego kraju przypadało wówczas 16,73 takich przestępstw – nieco ponad 3 razy więcej, niż przypadało ich na milion mieszkańców USA.

Tak duża różnica między przypadającymi na milion mieszkańców Francji i milion mieszkańców Stanów Zjednoczonych liczbami „przestępstw z nienawiści” z powodu płci, orientacji seksualnej i tożsamości płciowej wydaje mi się cokolwiek podejrzana. Lecz, żeby nieco zweryfikować te podejrzenia – czy aby we Francji wspomnianych „hate crimes” nie jest cokolwiek „za dużo” (oczywiście, byłoby najlepiej, żeby ich w ogóle nie było – ale świat po prostu wygląda tak, że przestępstwa, w tym również przestępstwa z powodu nienawiści wobec pewnych kategorii ludzi się niestety zdarzają) warto, jak myślę, porównać same liczby aktów przemocy z powodu płci, tożsamości płciowej i orientacji seksualnej, odnotowane w 2019 r. we wspomnianych krajach. Dokonując owego porównania należy mieć na względzie to, że użyte w przedstawionej na stronie OBWE statystyce „hate crimes” we Francji określenie „physical assault” najprawdopodobniej obejmuje zarówno akty przemocy przeciwko osobom, jak i akty przemocy przeciwko mieniu. (6) Porównując zatem liczby aktów przemocy z powodu płci, tożsamości płciowej i orientacji seksualnej w 2019 r. we Francji i w USA należy w przypadku drugiego z tych krajów uwzględnić nie tylko przypadki fizycznych napaści na osoby z wymienionych powodów, lecz także liczby skierowanych przeciwko takim osobom (i zakwalifikowanych jako „hate crimes”) przestępstw przeciwko mieniu.

We Francji wspomnianych przestępstw odnotowano w 2019 r. 569, co na milion mieszkańców dawało ich 8,49. W USA przestępstw takich odnotowano, jak wynika ze statystyki FBI 1213 (wielkość tę obliczyłem odejmując od sumy wszystkich przestępstw z nienawiści z powodu orientacji seksualnej, płci oraz tożsamości płciowej liczby przypadków zastraszania – które w statystykach dotyczących Francji są uwzględnione jako osobny typ przestępstw z nienawiści – oraz „przestępstw przeciwko społeczeństwu”). Ile to daje takich przestępstw na milion mieszkańców? Otóż, 3,97 – ponad 2 razy mniej, niż przypadało ich na milion mieszkańców Francji. Z kolei jeśli chodzi o inne przestępstw z nienawiści z powodu orientacji seksualnej, płci lub tożsamości płciowej, jakimi są groźby przemocy, to we Francji w 2019 r. przestępstw takich odnotowano 428. Na milion mieszkańców tego kraju daje to ich 6,39. W USA, według statystyk FBI przestępstw takich stwierdzono 414. Na statystyczny milion mieszkańców USA przestępstw takich przypadało zatem 1,36 – ok. 4,7 razy mniej, niż przypadało ich na milion mieszkańców Francji. Warto zauważyć, że bezwzględna liczba odnotowanych w 2019 r. gróźb z powodu orientacji seksualnej, tożsamości płciowej lub płci była w USA *mniejsza* od odnotowanej w tym samym roku we Francji – choć przecież ludność Stanów Zjednoczonych jest ok. 4,9 razy większa od ludności Francji.

I weźmy dalej inny – zdecydowanie tępiący „homofobiczną mowę nienawiści” kraj, jakim jest Holandia. Z przedstawionego na stronie OBWE wykresu wynika, że w 2019 r. w kraju

tym odnotowano łącznie 574 przestępstwa z nienawiści z powodu orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej, co – biorąc pod uwagę – że Holandia (czy jak to państwo niedawno oficjalnie się nazwało, Niderlandy) miała w 2019 r. 17,74 mln ludności – daje 32,36 takich przestępstw na milion mieszkańców – ok. 6,17 razy więcej, niż w USA.

Prawdopodobnie różnica ta nie była aż tak duża, a jej wielkość po części wynika z tego, że w holenderskich statystykach przestępstw z nienawiści obraźliwe czy nienawistne wypowiedzi o np. osobach LGBT – uznawane w Holandii za przestępstwo – uwzględniane są tak samo, jak akty przemocy, zastraszania czy niszczenia mienia. Niestety, wadą przedstawianych na stronie OBWE statystyk przestępstw z nienawiści odnotowanych w Holandii jest ich ogólnikowość – wszystkie te przestępstwa przedstawiane są jako „nieokreślone” (unspecified). Szukając jednak jakichś bliższych informacji na temat liczby rzeczywistych (tzn. nie polegających na wygłaszaniu jakichś obraźliwych czy nienawistnych opinii) „hate crimes” w Holandii znalazłem w Internecie [dokument opracowany przez Europejską Komisję Przeciwko Rasizmowi i Nietolerancji](#) (ECRI) z którego wynika, że w 2017 r. odnotowano w Holandii 603 przypadki motywowanej nienawiścią wobec takich czy innych grup przemocy, z czego 329 było motywowanych pochodzeniem etnicznym ich ofiar, zaś 239 ich orientacją seksualną. Zostawiając na boku przestępstwa dokonane z powodu czyjejś przynależności etnicznej, owych 239 aktów przemocy z powodu orientacji seksualnej daje ich – biorąc pod uwagę, że Holandia miała w 2017 r. 17,08 mln ludności 13,99 na milion mieszkańców. Liczba ta jest, chciałbym zauważyć, ok. 3,29 razy większa od liczby wszystkich przestępstw z nienawiści z powodu orientacji seksualnej, przypadających na milion mieszkańców USA w 2017 r. – wśród których były przecież nie tylko same akty przemocy przeciwko osobom. W Holandii według wspomnianego dokumentu odnotowano też 474 przypadki gróźb motywowanych nienawiścią wobec takich czy innych grup. Na milion mieszkańców Holandii dawało to 27,75 takich przestępstw. 2283 przypadki zastraszania (zakwalifikowane jako przestępstwa z nienawiści) odnotowane w 2017 r. w USA dawały 7,45 takich przestępstw na milion mieszkańców. Nawiasem mówiąc, przypadająca w 2017 r. na milion mieszkańców Holandii liczba zakwalifikowanych jako „hate crimes” gróźb była praktycznie równa przypadającej w tym samym roku na milion mieszkańców Stanów Zjednoczonych liczbie wszystkich przestępstw z nienawiści. Z kolei przypadająca na milion mieszkańców Holandii w 2017 r. liczba aktów przemocy z powodu przynależności etnicznej lub orientacji seksualnej – która, w świetle danych przedstawionych przez ECRI wyniosła 35,30 – była większa od liczby wszystkich przypadających na milion mieszkańców Stanów Zjednoczonych „hate crimes” – która w 2017 r. w świetle danych FBI wyniosła 27,53. Była też ona ok. 3,64 razy wyższa od przypadającej w 2017 r. na milion mieszkańców USA liczby takich przestępstw z nienawiści, jak morderstwa, gwałty, fizyczne napaści na osoby, rozboje oraz podpalenia i ok. 1,83 razy wyższa od przypadającej w 2017 r. na milion mieszkańców USA liczby wszystkich przestępstw z nienawiści z wyjątkiem przypadków zastraszania (w przypadku Holandii kwalifikowanych, jak widać – przynajmniej we wspomnianej publikacji ECRI – oddzielnie) i „przestępstw przeciwko społeczeństwu”.

Przyjrzyjmy się też liczbie przestępstw z nienawiści przeciwko osobom LGBT – i porównajmy ją z liczbą odnotowaną w USA – w innym karzącym za mowę nienawiści przeciwko takim osobom europejskim kraju, a mianowicie w Szwecji. Z informacji dostępnych na stronie OBWE wynika, że Szwecja nie przedstawiła danych o przestępstwach z nienawiści odnotowanych w tym kraju w 2019 r. Dostępne są tam jednak dane za rok 2018. Z danych tych wynika, że w 2018 r., odnotowano w Szwecji 663 przestępstwa z nienawiści na tle homofobicznym oraz 79 przestępstw z nienawiści przeciwko osobom transseksualnym. Wśród przestępstw o charakterze homofobicznym, jakie stwierdzono w Szwecji w 2018 r. największą grupę stanowiły przypadki „zakłócenia spokoju” (disturbance of the peace) – z innego, niż strona OBWE [źródła](#) wynika, że w przypadku przestępstw z nienawiści

odnotowanych w Szwecji pod tym pojęciem rozumie się przypadki zastraszania i nie – seksualnego dręczenia; we wspomnianej grupie „hate crimes” przestępstw takich odnotowano 445. Wśród homofobicznych przestępstw z nienawiści stwierdzonych w Szwecji w 2018 r. było też 95 fizycznych ataków na osoby i tyle samo przypadków zniszczenia/uszkodzenia własności. 28 pozostałych przestępstw zostało scharakteryzowanych jako „nieokreślone” – podobnie zostało zakwalifikowanych zostało 79 przestępstw o charakterze transfobicznym.

Ile to daje takich przestępstw na milion mieszkańców i jak wypada to na tle przypadających na milion mieszkańców homofobicznych oraz transfobicznych przestępstw z nienawiści, które stwierdzono w 2018 r. w USA?

Jeśli chodzi o ogólną liczbę przestępstw o charakterze homofobicznym, to biorąc pod uwagę, że ludność Szwecji wynosiła w 2018 r. 10,12 mln mieszkańców można policzyć, że na milion mieszkańców przestępstw tych przypadało 65,51. W USA w 2018 r. takich akurat przestępstw odnotowano, jak wynika ze statystyki „hate crimes” prowadzonej przez FBI, 1384. Biorąc pod uwagę, że dane na temat „hate crimes” były w 2018 r. zbierane na obszarze, którego liczba ludności oszacowana została na 306 874 326 osób można policzyć, że na milion osób przypadało w 2018 r. w USA 4,51 takich przestępstw – ok. 14,53 razy mniej, niż w Szwecji.

Pytanie oczywiście, czy różnica ta była faktycznie *aż* tak wielka? Mam co do tego pewną wątpliwość, wynikającą głównie z tego, że figurujące w statystykach „hate crimes” dotyczących Szwecji pojęcie „zakłócenia spokoju” może być pojęciem szerszym od występującego w danych amerykańskich pojęcia „zastraszania” (intimidation). Ale spróbujmy porównać liczby innych odnotowanych w Szwecji i w USA homofobicznych „przestępstw z nienawiści” a mianowicie aktów przemocy przeciwko osobom i przypadków zniszczenia własności. Tych pierwszych przestępstw, jak była już mowa, odnotowano w 2018 r. w Szwecji 95. W przypadku USA, jeśli dodamy do siebie liczby popełnionych na wspomnianym tle zabójstw (3), gwałtów (4), „pogorszonych napaści” (243), zwykłych napaści (463), rozbojów (32) i – przyjąłem dla dobra argumentacji – podpaleń (3), to wychodzi na to, że przestępstw takich odnotowano w Stanach Zjednoczonych w 2018 r. 748. Ile zatem przypadało wspomnianego typu „przestępstw z nienawiści” na milion mieszkańców obu wspomnianych tu krajów? Otóż, w przypadku Szwecji 9,39. Natomiast w przypadku USA 2,44 – czyli ok. 3,85 razy mniej. Jak wypada z kolei porównanie odnotowanych w 2018 r. w Szwecji i w USA liczb homofobicznych przestępstw przeciwko mieniu? Jak już wspomniałem, takich akurat przestępstw stwierdzono w Szwecji 95, co na milion mieszkańców daje ich ok. 9,39. W przypadku USA zsumowana liczba rozbojów (32), włamań (18), kradzieży (41), kradzieży pojazdów mechanicznych (4), podpaleń (3), przypadków zniszczenia własności (212) oraz innych przestępstw przeciwko mieniu (2) daje łączną liczbę 312 takich przestępstw. Na milion mieszkańców USA wszystkich takich przestępstw przypadało zatem w 2018 r. niecałe 1,02 – ok. 9,23 razy mniej, niż przypadało ich na milion mieszkańców Szwecji. Z kolei, jeśli chodzi o przestępstw z nienawiści przeciwko osobom transseksualnym to w 2018 r. przestępstw takich odnotowano w Szwecji, jak była już tu mowa, 79. Na milion mieszkańców Szwecji przypadało zatem wówczas ok. 7,81 takich przestępstw. W USA przestępstw takich stwierdzono w 2018 r. 184 – z czego 157 zostało popełnionych na szkodę osób trans płciowych, zaś pozostałych 27 zostało określonych na stronie FBI jak „anti-gender non-conforming”. Wszystkich takich przestępstw przypadało zatem w USA w 2018 r. ok. 0,6 na statystyczny milion osób.

Jak zatem widać, w zakazujących „homofobicznej” czy „transfobicznej” „mowy nienawiści” państwach europejskich (do wspomnianych powyżej można byłoby dorzucić jeszcze niektóre inne – takie np. jak Finlandię, czy Wielką Brytanię – mam na myśli oczywiście tylko te państwa, które przedstawiają dane pozwalające na wyciągnięcie wniosków odnośnie odnotowywanych w nich liczb „hate crimes”) liczby przestępstw z nienawiści przeciwko

osobom LGBT – takich, jak fizyczne napaści, oraz przypadki zastraszania i niszczenia mienia są – licząc je *per capita* – znacząco większe od liczb takich przestępstw odnotowywanych w niezabraniających „mowy nienawiści” Stanach Zjednoczonych. Czy liczby takich przestępstw, jakie zdarzają się w Polsce – i odnośnie których wierzę w to, że są one poważne (ze strony OBWE wynika, że 2019 r. według oficjalnych danych odnotowano w naszym kraju 16 przestępstw z nienawiści na tle orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej – wśród przestępstw tych były 2 fizyczne napaści, jeden przypadek zastraszania, jedno przestępstwo nieokreślone i 12 przypadków podżegania lub nawoływania do przemocy; z przedstawionych na tej stronie danych nieoficjalnych wynika, że w 2019 r. stwierdzono w Polsce 32 fizyczne napaści na osoby, 10 przypadków gróźb oraz 5 przypadków zniszczenia własności ze wspomnianych powodów – jest praktycznie oczywiste, że nie są to pełne liczby takich przestępstw) mogą ulec zmniejszeniu wskutek wprowadzenia wspomnianej tu wcześniej poprawki do kodeksu karnego, na mocy której „mowa nienawiści” przeciwko osobom LGBT (a także niepełnosprawnym, czy grupom wyróżniającym się wiekiem czy płcią) miałyby zostać uznana za przestępstwo?

W to, że coś takiego będzie skutkiem zakazu „homofobicznej” czy „transfobicznej” „mowy nienawiści” można wierzyć wówczas, jeśli wierzy się w to, że „mowa nienawiści” faktycznie wywołuje – a przynajmniej pobudza – nienawiść, zaś poprzez prawny zakaz takiej „mowy” można tej nienawiści zapobiegać, bądź ją zredukować – dzięki czemu nienawiść ta nie będzie miała praktycznych efektów, takich, jak akty przemocy. Ale jakkolwiek istnienie związków przyczynowo – skutkowych między „mową nienawiści” – a dalej samą nienawiścią i wreszcie przestępstwami z nienawiści jest dla wielu ludzi czymś na zdrowy rozum oczywistym, prawda jest taka, że praktycznie rzecz biorąc nie ma dowodów na istnienie związków między wspomnianymi zjawiskami. Jak w swojej książce „Hate speech and democratic citizenship” pisze brytyjski autor [Eric Heinze](#): *„(współczesne zachodnie demokracje (7) są najbardziej empirycznie zbadanymi społeczeństwami w historii. Jedzenie, spanie, palenie, picie, bieganie, siedzenie, stanie, skakanie i wszystko inne, co robimy jest nieustannie analizowane w celu znalezienia dowodów na jakieś szkodliwe skutki robienia tego czegoś. Żadne wcześniejsze społeczeństwa nie miały środków do tego, by wytworzyć tomy społecznych analiz, jakie wygenerowane zostały w (zachodnich demokracjach), wliczając w to trwające wciąż badania nad przemocą i dyskryminacją przeciwko członkom wrażliwych grup. Jednak pomimo całych dekad obowiązywania i egzekwowania zakazów „mowy nienawiści” nie zostały zgromadzone żadne dowody, które by w jakikolwiek statystycznie istotny sposób wiązały nienawiść wyrażaną w ogólnym publicznym dyskursie z konkretnymi szkodliwymi efektami”*. W innym swym tekście, zatytułowanym [„Towards the abolition of hate speech bans”](#) Eric Heinze stwierdził, że *„w stabilnych dojrzałych i prosperujących zachodnich demokracjach związek między „mową nienawiści” a nienawistnymi czynami nigdy nie został wykazany – nie w większym stopniu, niż to, że codzienna dieta telewizyjnej przemocy (pomijając zdarzające się okazjnie wyczyny jej naśladowców) zmieniła nas wszystkich w oszalałych morderców”*. Zakazy „hate speech” mogą nawet – w jakimś stopniu – przyczyniać się do przemocy, której z założenia mają one zapobiegać. Dlaczego tak właśnie mogą one działać? Otóż, zadajmy sobie pytanie – czy ludzie, którzy nienawidzą lub odczuwają pogardę wobec jakiejś grupy osób – czy to Żydów, czy gejów, czy lesbijek, czy transseksualistów – wybędą się swojego wrogiego nastawienia wobec takich osób pod wpływem tego, że publiczne znieważanie takich grup, czy też „szerzenie nienawiści lub pogardy” przeciwko nim zostanie zakazane? Myślę, że spokojnie można powiedzieć: nic takiego nie nastąpi. To, co może natomiast nastąpić to wywołanie (czy spotęgowanie) u takich osób poczucia prześladowania, na gruncie którego może narodzić się gniew oraz wściekłość i wynikające z nich przekonanie, że trzeba działać – niekoniecznie w sposób pokojowy i zgodny z prawem. Rzecz jasna, najprawdopodobniej tylko nieliczne osoby posuną się do aktów przemocy, czy jeszcze innych przestępstw (np.

zastraszania lub niszczenia mienia) przeciwko osobom należącym do grup chronionych przed „mową nienawiści”. U znacznej części społeczeństwa zakazy takie mogą jednak wytworzyć wrażenie, że grupy tego rodzaju, co osoby LGBT są przysłowiowymi „świętymi krowami” o których nie wolno powiedzieć złego słowa. Takie przekonanie prędzej może się przyczyniać do podsycania złych emocji wobec grup chronionych przed „hate speech” niż im zapobiegać.

Zakazy „mowy nienawiści” nie zapobiegają więc samej nienawiści i jej możliwym skutkom – w postaci np. aktów przemocy. Są one natomiast z pewnością generalnie rzecz biorąc niebezpieczne dla szeroko pojętej wolności słowa. Dlaczego tak jest? Otóż, pomyślmy tu na temat, mówiąc językiem prawniczym „*ratio legis*” takich zakazów. W przypadku, gdy mówimy o „mowie nienawiści” nie mamy raczej na myśli wypowiedzi, które w sposób intencjonalny i bezpośredni prowadzą do przemocy. Takie wypowiedzi oczywiście mogą i powinny być zakazane, gdyż nie ma innych, niż zagrożenie stosowną karą takich wypowiedzi, możliwości zapobiegania ich negatywnym skutkom. Pojęcie „mowy nienawiści” jest jednak o wiele szersze. Są różne próby bliższego zdefiniowania tego pojęcia, których nie ma co tu przytaczać, a tym bardziej analizować, ale ogólnie rzecz biorąc można powiedzieć, że pod wspomnianym pojęciem rozumie się takie wypowiedzi, które obrażają pewnego rodzaju grupy społeczne lub mają na celu wywoływanie wrogich emocji wobec takich grup (czy ewentualnie konkretnych osób w związku z przynależnością do nich). Zakazów „mowy nienawiści” nie da się uzasadnić tym, że „mowa” taka bezpośrednio prowadzi do przemocy (czy inny krzywdzących i zakazanych prawem działań) – jeśli można użyć jakiegoś argumentu w obronie jej prawnego zakazu, to ewentualnie takiego, że „mowa nienawiści” może prowadzić do wytwarzania i pobudzania pewnych poglądów i emocji – tworzenia się czy podsycania jakiegoś „klimatu” – którego efektem mogą ewentualnie być m.in. przestępstwa z nienawiści.

Lecz zasadniczym problemem z takim argumentem jest to, że w oparciu taki argument można byłoby zabronić mnóstwa wypowiedzi – z pewnością o wiele więcej, niż zgodziliby się zakazać najtwardsi zwolennicy „hate speech laws”. Jak pisałem w opublikowanym w 2015 r. tekście [„Internet bezpieczny – czy wolny \(a może i taki, i taki\)?”](#) „Jeśli dostatecznym powodem do zrobienia z jakichś wypowiedzi przestępstwa jest to, że wypowiedzi te mogą przyczyniać się do wytwarzania „klimatu” którego efektem bywają takie czy inne akty przemocy, wandalizmu, dyskryminacji itp. to proponuję: zakażmy propagandy tzw. obrońców życia poczętego, gdyż ludzie którzy naoglądali się filmów typu [„Niemy Krzyk”](#) i nacztyli o „holocaustie nienarodzonych” podpalają czasem kliniki aborcyjne i podkładają w nich bomby, a niekiedy nawet mordują lekarzy wykonujących zabiegi przerwania ciąży. Zgodzimy się chyba, że tego rodzaju przestępstw nie dokonują ludzie, którzy nie słyszeli nic o aborcji i którzy ideę ochrony życia od chwili poczęcia mają – eufemistycznie mówiąc - gdzieś? Zabrońmy propagandy „obrońców praw zwierząt”, bo osoby poruszone losem wyzyskiwanych i zabijanych zwierząt i przekonane do opinii, że to, co ludzie robią ze zwierzętami niczym się nie różni od tego, co naziści robili z Żydami w Auschwitz podpalają czasem rzeźnie, ферmy zwierząt futerkowych, sklepy z futrami, laboratoria, w których eksperymentuje się na zwierzętach i niekiedy nawet fizycznie atakują ludzi odpowiedzialnych według nich za wyrządzanie krzywdy zwierzętom. Uznajmy za przestępstwo szerzenie idei biocentryzmu, czy jak kto woli „głębokiej ekologii”, bo ludzie przekonani do poglądu, że wszelkie żywe istoty i nawet obiekty przyrody nieożywionej mają identyczne z nimi prawo do istnienia i naturalnego rozwoju niszczyli nieraz linie energetyczne, wysadzali gazociągi i podpalali budynki w imię obrony istot zasługujących według nich na taki sam szacunek, jak przedstawiciele ich własnego gatunku. Zabrońmy w ogóle gadania o przyrodzie, opiewania jej piękna, mówienia o zagrożeniach – terroryzm pro – środowiskowy, czy jak kto woli ekoterroryzm byłby doprawdy mało prawdopodobny bez rozpowszechnienia się poglądu, że natura jest czymś bezcennym, a zarazem delikatnym i śmiertelnie wręcz zagrożonym przez

ludzką działalność. I z pewnością zwiększa jego prawdopodobieństwo skuteczne przekonywanie do opinii o bliskości ekologicznej apokalipsy i końcu w jej wyniku ludzkiego rodzaju. Wsadzajmy do kryminału za dowodzenie zgubności manipulacji genetycznych i bio czy nanotechnologii, bo ludzie przekonani o niej niszczą laboratoria prowadzące eksperymenty genetyczne i badania w dziedzinie bio lub nanotechnologii, a czasem nawet – jak członkowie działającej w Meksyku grupy „Individualidades Tendiendo a lo Salvaje” („Osobnicy z tendencją do dzikości”) - mordują naukowców zajmujących się wspomnianymi dziedzinami wiedzy. Zakażmy mówienia i pisania czegokolwiek sugerującego niebezpieczeństwo wykorzystywania energii nuklearnej, bo ludzie przekonani o takim niebezpieczeństwie nieraz usiłowali powstrzymać siłą transporty nuklearnych odpadów i wszczynali zamieszki przeciwko budowie elektrowni atomowych (miało to wielokrotnie miejsce w np. Niemczech). Stawiajmy pod sąd za straszenie globalnym ociepleniem, bo niektórzy ludzie przejęci niebezpieczeństwem efektu cieplarnianego podpalali szczególnie jakoby przyczyniające się do tego efektu samochody typu SUV – no, i [byli też tacy](#), którzy ze strachu przed skutkami tego efektu zabili jedno ze swych dzieci, usiłowali zamordować drugie (nie udało im się czystym przypadkiem) i zabili siebie. Zdelegalizujmy propagandę anty – czy jak kto woli – *alter*globalistów, bo ludzie pod wpływem tej propagandy uznający Bank Światowy, Światową Organizację Handlu, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, czy tzw. grupę G8 za sprawców nędzy, wyzysku, głodu i innych nieszczęść krajów (głównie) III Świata podczas zjazdów tych ciał wszczynali rozruchy, po których miasta goszczące owe zjazdy wyglądały niczym po tajfunie. Zabrońmy krytyki takich ciał, jak Europejski Bank Centralny – zgodzimy się chyba, że np. niedawne (w 2015 r. – kiedy pisałem przytaczany tu tekst) zamieszki podczas otwarcia nowej siedziby EBC we Frankfurcie nad Menem byłyby mało prawdopodobne bez przekonania ich uczestników do opinii, że to właśnie narzucana przez EBC polityka oszczędności jest przyczyną pauperyzacji społeczeństw krajów południa Europy. Zabrońmy może w ogóle krytyki banków - wszak rozbite witryny banków to typowy obraz miasta po lewackich rozruchach i podłożem takich aktów agresji niewątpliwie jest przekonanie o tym, że banki to ciała pazerne, nieuczciwe, wrogie zwykłym ludziom i zwyczajnie złodziejskie. Zakażmy propagandy organizacji antyfaszystowskich – przestępstwa tego rodzaju, co choćby wyczyny [antify](#), takie jak [brutalne pobicie osób składających kwiaty na grobie Jana Stachniuka 11 listopada 2005 r. na warszawskich Powązkach](#) byłyby doprawdy mało prawdopodobne bez uprzedniego przekonania ich sprawców do poglądu o odradzającym się, czy narastającym neonazistowskim zagrożeniu, do tego, że propagowanie idei o charakterze nazistowskim, czy rasistowskim nie jest korzystaniem z wolności słowa, lecz czymś, co należy traktować jako przestępstwo, i do tego, że państwo jest wobec głosicieli takich idei niedopuszczalnie pobłażliwe lub zwyczajnie bezradne. Tak samo jak propagandy przeciwników dopuszczalności aborcji zabrońmy propagowania idei prawa kobiet do swobodnego wyboru w kwestii tego, czy urodzić dziecko, czy przerwać ciążę – trudno sobie wyobrazić, by ideologicznie motywowanych napaści na rzeczników zakazu aborcji mogli dokonywać ludzie, którzy nie zostali przekonani do tego, że zakaz aborcji jest oburzającym moralnie zamachem na podstawowe prawo kobiety do decydowania o tym, czy chce czy też nie chce zostać matką. Zakażmy w ogóle propagandy rzecz praw kobiet – nie kto inny jak same feministki twierdziły, że przyczyną niektórych przestępstw przeciwko kobietom jest strach, jaki u ich sprawców wywołuje działalność ruchów zmierzających do polepszenia społecznego statusu płci pięknej. Tak samo jak pornografii (wiadomo – [prowadzi do gwałtów](#)) zabrońmy głoszenia poglądu, że pornografia jest przyczyną opresji wobec kobiet – krewkie wyznawczynie takiej opinii niszczyły leżące na sklepowych półkach magazyny pornograficzne i podpały sexshopy. I podobnie jak pornografii z udziałem dzieci – zarówno rzeczywistych, jak i narysowanych lub stworzonych przy użyciu komputera - zakażmy publikowania katalogów bielizny dziecięcej, zwykłych

zdjęć nawet zupełnie ubranych dzieci i nawet dzieci w ciężkich, zimowych kurtkach – takie z pozoru kompletnie niewinne obrazki potrafią podniecać pedofilów i pobudzać ich do molestowania dzieci tak samo, jak (prawdziwa lub tzw. [wirtualna](#)) pornografia dziecięca – niektórych ponoć nawet skuteczniej. (8) Zabrońmy zarówno szerzenia prawdziwych informacji o popełnionych przestępstwach, jak i fikcyjnego przedstawiania przestępstw w książkach czy filmach – jedne i drugie wielokrotnie inspirowały niektórych ludzi do dokonywania czynów podobnych do tych przedstawianych lub opisywanych w produktach mediów. Tak samo jak przestępstw i przemocy zakażmy przedstawiania w mediach bogactwa i luksusu – badania przeprowadzone swego czasu w USA wskazują na to, że pojawienie się w Stanach Zjednoczonych telewizji, choć nie spowodowało wyraźnie widocznego wzrostu liczby morderstw, napaści z uszkodzeniem ciała, włamań oraz kradzieży samochodów, to jednak ponad wszelką wątpliwość przyczyniło się do wzrostu liczby kradzieży mienia ruchomego (ang. *larceny*). Zdaniem autorów owych badań zwiększenie się liczby kradzieży było najprawdopodobniej wynikiem uczuć zazdrości i frustracji, rodzących się u niektórych widzów pod wpływem oglądania niedostępnego dla nich bogactwa i reklamy dóbr, których legalne nabycie leżało poza zasięgiem ich finansowych możliwości. Zakażmy informowania o takich wydarzeniach, jak pobicie, czy zabicie kogoś przez funkcjonariuszy policji – niedawne (2015) rozruchy w Legionowie i w Knurowie (a za oceanem w Ferguson w stanie Missouri i w Baltimore) na zdrowy rozum nie miałyby miejsca, gdyby wiele osób w krótkim czasie o takich wydarzeniach się nie dowiedziało. I oczywiście z powodzeniem można byłoby twierdzić, że szerzenie takich informacji, nawet jeśli nie prowadzi wprost do zamieszek, to przyczynia się do tworzenia i/lub podsycania klimatu nienawiści wobec policji, który z pewnością w jakiejś mierze jest podłożem rozmaitych anty-policyjnych ekscesów. Zabrońmy mówienia i pisanie o wszelkich rewolucjach, powstaniach, czy ruchach oporu (a co dopiero ich gloryfikowania) gdyż niektórzy ludzie mogą z niego wyciągnąć wniosek, że stosowanie przemocy jest właściwą metodą dążenia do naprawy świata. Zakażmy wspomniania (przynajmniej w publikacjach mogących dotrzeć do *ciemnego ludu* – uczeni prawnicy chyba muszą skądś wiedzieć o takich rzeczach) o pewnych koncepcjach prawnych – takich np. jak obrona konieczna i stan wyższej konieczności, bo jednym z czynników motywujących ludzi, którzy dokonują aktów przemocy w imię obrony nienarodzonych, zwierząt, natury czy jakiegokolwiek wskazanego przez taką czy inną ideologię powodu jest przekonanie o tym, że ich czyny są moralnie i nawet prawnie (choć niekoniecznie w sposób uznawany przez tych, którzy w praktyce egzekwują obowiązujące przepisy prawne) usprawiedliwione przez te skądinąd uznane w całym cywilizowanym świecie koncepcje (zwane przez prawników [kontratypami przestępstw](#)). I zabrońmy w ogóle gadania o jakiejś tam sprawiedliwości, jakiejś tam równości, jakiejś tam demokracji, jakichś tam prawach, jakiejś tam korupcji, jakichś tam nadużyciach władz – w końcu skąd biorą się różnego rodzaju zamieszki, przewroty i rewolucje? Jasne, że nie tylko z tego – z pewnością przyczyniają się do nich czynniki zupełnie inne, niż wpływ takich czy innych idei na ich sprawców – może być to np. bezrobocie (bądź jego perspektywa), problemy z zaopatrzeniem, zubożenie, czy groźba zubożenia, realne nierówności społeczne itp. Ale mimo wszystko inne wydaje się prawdopodobieństwo urządzenia jakichś antyrządowych zamieszek przez ludzi żyjących w przekonaniu, że ich nieszczęśliwy los jest wynikiem ślepego trafu, a inne ze strony tych, którzy przekonani są o tym, że jest on wynikiem nieuczciwej i niesprawiedliwej polityki władz. Jak [pisał niegdyś](#) amerykański sędzia federalny [Learned Hand](#) „*polityczna agitacja, wskutek rozbudzanych przez nią namiętności i rodzonych przekonań faktycznie może pobudzać ludzi do łamania prawa. Wstręt wobec istniejącej polityki łatwo może się przekształcić w opór wobec realizującej ją władzy i szaleństwem byłoby lekceważenie związku przyczynowo – skutkowego między jednym, a drugim*”. Zakażmy też wreszcie drukowania i rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie Biblii – żadne inne dzieło literackie (przynajmniej

w zachodnim kręgu kulturowym) nie było równie często przywoływane przez rozmaitych kryminalistów i psychopatów jako źródło inspiracji lub usprawiedliwienia dla popełnionych przez nich zbrodni”. Można do tego dodać, że obecnie w oparciu o argumentację praktycznie identyczną jak ta, w oparciu o którą można byłoby próbować uzasadniać zakazy „mowy nienawiści” można byłoby uzasadnić zakaz wypowiedzi wyrażających obawy (o ile wiem, bzdurne) odnośnie skutków stosowania tzw. technologii 5G – jak wiadomo, niektórzy ludzie przekonani do opinii o niebezpieczeństwie tej technologii dla ludzkiego zdrowia, czy nawet życia podpalali wykorzystując rzekomo tę technologię maszty telekomunikacyjne. Podobnie też w oparciu o wspomnianego rodzaju argumentację można byłoby zabronić mówienia i pisania o przypadkach pedofilii wśród księży: w Chile niektórzy ludzie wzburzeni medialnymi doniesieniami o seksualnych skandalach wśród kleru podpalali kościoły.

Ratio legis, leżące u podłoża zakazów „hate speech” jest więc, jak widać, niemożliwe do pogodzenia z poważnie traktowaną wolności słowa. W dodatku zakazy takie, jak już wspomniałem, nie pomagają rozwiązywać problemów tego rodzaju, co istnienie w społeczeństwie zjawisk homofobii, a także antysemityzmu, rasizmu itd.

Jak zatem widać, zarówno Kaja Godek, jak i Krzysztof Śmiszek popierają pomysły ograniczające podstawowe prawa obywatelskie. Który jednak ze wspomnianych tu pomysłów jest gorszy? Jeśli chodzi o takie pytanie to myślę, że pomysł za jakim opowiada się Krzysztof Śmiszek opiera się na cokolwiek bardziej racjonalnych przesłankach. Bo jest rzeczą jakoś tam wyobrażalną, że ktoś się stanie nienawistnikiem pod wpływem nasłuchania się czy nacytania „mowy nienawiści”. Natomiast byłoby czymś zupełnie absurdalnym twierdzenie, że ktoś może zmienić orientację seksualną z heteroseksualnej na homoseksualną pod wpływem „propagujących” homoseksualizm demonstracji.

Lecz nie pod każdym względem pomysł Kai Godek dotyczący zakazu zgromadzeń „propagujących” homoseksualizm jest gorszy od projektu ustawy rozszerzającej zakres karalnej „mowy nienawiści” pod którym podpisał się m.in. Krzysztof Śmiszek. O projekcie przedstawionym przez fundację Kai Godek mam oczywiście jak najgorsze zdanie. Ale projekt ten, co by złego o nim nie powiedzieć, nie przewiduje zakazu „propagowania homoseksualizmu” we wszelkich możliwych sytuacjach. Projekt ten nie przewiduje nawet zakazu – powiedzmy – *publicznego* propagowania homoseksualizmu. Gdyby projekt ten wszedł w życie, to homoseksualizm wolno byłoby propagować w Internecie czy w innych mediach – nie wolno byłoby go tylko propagować podczas publicznych manifestacji. Podobnie też – poza przypadkiem publicznych zgromadzeń – można było kwestionować małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, propagować rozszerzenie instytucji małżeństwa na osoby tej samej płci, propagować związki osób tej samej płci lub związki składające się z więcej niż dwóch osób, propagować traktowanie związków osób tej samej płci lub związków składających się z więcej niż dwóch osób w sposób uprzywilejowany, propagować możliwość przysposobiania dzieci przez osoby tej samej płci, propagować orientacje seksualne inne niż heteroseksualizm, propagować płęć jako byt niezależny od uwarunkowań biologicznych, a nawet propagować aktywność seksualną dzieci i młodzieży przed ukończeniem 18 roku życia. (9) Zwolennicy wspomnianego rodzaju stanowisk byłiby oczywiście dyskryminowani w życiu publicznym z powodu swoich poglądów z racji tego, że nie mogliby oni (w każdym razie, w sposób legalny) wyrażać takich poglądów w formie zbiorowych publicznych zgromadzeń. Ale nie mieliby jednak zakazu propagowania takich poglądów w jakikolwiek publiczny – a tym bardziej już tylko prywatny – sposób. Lecz w przypadku, gdyby w życie wszedł pomysł wprowadzenia zakazu „publicznego (...) wywoływania albo szerzenia nienawiści lub pogardy ze względu na wiek, płęć, tożsamość płciową, niepełnosprawność lub orientację seksualną” a także publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególniej osoby z powodu wieku, płci, tożsamości płciowej,

niepełnosprawności lub orientacji seksualnej to zakazane stałoby się „szerzenie nienawiści lub pogardy” i znieważanie grup wyróżniających się wspomnianymi tu cechami nie tylko podczas publicznych demonstracji, ale także w Internecie i wszelkich możliwych mediach. Za przestępstwo mogłoby zostać uznane nawet wykonanie jakiegoś „szerzącego nienawiść lub pogardę” lub „znieważającego” napisu w publicznym wychodku: można przecież byłoby twierdzić, że taki napis, jeśli został wykonany w wychodku, do którego potencjalnie może wejść każdy – i go tam przeczytać – stanowi przestępstwo publicznego „szerzenia nienawiści lub pogardy” bądź znieważania – w doktrynie prawa karnego przyjmuje się, że działanie ma charakter publiczny, kiedy z działaniem tym lub jego efektem (w postaci napisu, publikacji itd.) może zapoznać się teoretycznie nieograniczona liczba osób, choćby faktycznie zapoznali się z nim nieliczni.

I jeszcze jedno: Kaja Godek, lansując rzeczywiście kuriozalny projekt ustawy zabraniającej zgromadzeń propagujących homoseksualizm nie proponuje tego, by osobom uczestniczącym w takich zgromadzeniach czy nawet przewodniczącym im groziło więzienie. To, co mogłoby grozić takim osobom w przypadku ewentualnego wejścia ustawy „Stop LGBT” w życie, to to, że zgromadzenia, odnośnie których policja uznałaby, że mają one na celu, powiedzmy, propagowanie rozszerzenia instytucji małżeństwa na osoby tej samej płci, czy propagowanie możliwości adopcji dzieci przez pary homoseksualne, mogłyby być rozwiązywane. Nie wolno byłoby w ogóle organizować zgromadzeń mających wskazane przez ewentualną ustawę „Stop LGBT” cele. Ale zagrożenia za czyny, które byłyby zakazane pod rządami ustawy „Stop LGBT” nie są wysokie – i Kaja Godek nie zaproponowała ich zmiany. Zgodnie z art. 52 § 2 ust. 2 [kodeksu wykroczeń](#), ten kto organizuje zgromadzenie bez wymaganego zawiadomienia lub przewodniczy takiemu zgromadzeniu lub zgromadzeniu zakazanemu, bądź (ust. 3) przewodniczy zgromadzeniu po rozwiązaniu go, albo (ust. 4) bezprawnie zajmuje lub wzbrania się opuścić miejsce, którym inna osoba lub organizacja prawnie rozporządza jako organizator lub przewodniczący zgromadzenia, podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny. Z kolei w myśl art. 52 § 3 ust. 3 wspomnianego kodeksu ten, kto wzbrania się opuścić miejsce zgromadzenia po jego rozwiązaniu, podlega karze grzywny. Do więzienia zatem za takie rzeczy się nie idzie.

Ale Krzysztof Śmiszek jest za wsadzaniem do więzienia za „homofobiczną” – i bez wątpienia też inną - „mowę nienawiści”. Dał on temu wyraz nie tylko podpisując się pod wspomnianym tu projektem, który przewiduje kary pozbawienia wolności za publiczne „wywoływanie albo szerzenie nienawiści lub pogardy” z takich m.in. powodów, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa, ekspresja płciowa, niepełnosprawność i orientacja seksualna, oraz za publiczne znieważanie całych grup czy też konkretnych osób z takich powodów, ale też wcześniej, udzielając swego czasu wywiadu dla dodatku Gazety Wyborczej „Magazyn Świąteczny”. W wywiadzie tym stwierdził on, że *„Wprowadzimy takie przepisy, że każdy homofob, który żeruje na najniższych instynktach i zagraża bezpieczeństwu osób LGBT, zostanie ukarany, z więzieniem włącznie. Niezależny sąd i niezależna prokuratura będą mogły wszczynać postępowania karne przeciwko homofobom”*. Co więc można powiedzieć o osobach lansujących wspomniane w tym tekście pomysły? Ja myślę, że spokojnie można o nich powiedzieć jedno: najogólniej rzecz biorąc, są warte siebie.

Przypisy:

1. Art. 196 k.k. krytykowałem w tekstach [„Trybunał Konstytucyjny: wróg wolności słowa”](#), [„Bronić wolności słowa – ale konsekwentnie”](#) i [„Przestępstwo „obrazy uczuć religijnych” a wolność słowa”](#).

2. Zdanie to zostało użyte przez sędziego Holmesa w uzasadnieniu decyzji w sprawie [Schenk v. United States](#) z 1919 r. – mając zresztą wątki związek z faktami sprawy, w której chodziło o zgodność z I Poprawką do Konstytucji skazania za propagandę antywojenną w czasie I wojny światowej.
3. Przepisy te krytykowałem swego czasu w tekstach [„Obraza władzy” – przestępstwo z lamusa historii](#)” i [„Odpowiedzialność za zniesławienie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego \(12.05.2008\): lepiej niż było, ale wciąż niezadowolająco”](#).
4. W Stanach Zjednoczonych znieważające wypowiedzi mogą być karane wówczas, kiedy są one kierowane bezpośrednio twarzą w twarz do innej osoby w sposób mogący wywołać u niej gwałtowną reakcję (a wyrażając się kolokwialnie, spowodować mordobicie), albo ewentualnie wówczas, gdy są kierowane do kogoś w jakiś systematyczny i uporczywy sposób. Zob. w tej kwestii wyrok Sądu Najwyższego USA w sprawie [Gooding v. Wilson](#) z 1972 r., zob. też (jako przykład) [art. 240.25](#) Prawa Karnego Nowego Jorku dotyczący „molestowania pierwszego stopnia”. Według tego przepisu „molestowanie I stopnia zachodzi” wtedy, gdy jakaś osoba w sposób intencjonalny i powtarzalny dręczy inną osobę, podążając za taką osobą w miejscu lub w miejscach publicznych, albo angażując się w kurs zachowania bądź w sposób powtarzalny dokonując czynów, które wywołują u tej osoby rozsądną obawę o wyrządzenie jej fizycznej krzywdy. Pojęcia „kurs zachowania” oraz „powtarzalne dokonywanie czynów” które u jakiejś osoby wywołują rozsądną obawę o wyrządzenie jej fizycznej krzywdy są na tyle pojemne, że mogą one obejmować zachowania tego rodzaju, co ustawiczne obrzucanie kogoś obelgami. Należy jednak zauważyć, że wspomniany przepis jest sformułowany w sposób neutralny, jeśli chodzi o zakazywanie – czy też nie zakazywanie - jakichś wypowiedzi – pewne użycia słów mogą, jak sądzę, zostać uznane za naruszenie tego przepisu, ale przepis ten nie jest generalnie rzecz biorąc skierowany przeciwko słowom, tylko ewentualnie przeciwko dręczeniu przy pomocy ich użycia.
5. Ostrzejszą karalność „hate crimes” w stosunku do innych przestępstw zaakceptował Sąd Najwyższy USA w wydanym w 1993 r. orzeczeniu w sprawie [Wisconsin v. Mitchell](#). Dodam, że wyrok ten - a właściwie stojące za nim rozumowanie – krytykowałem w pewnym stopniu swym tekście [„Oto więźniowie polityczni”](#) z 2013 r.

6. Wnioskuje to z porównania [danych dotyczących liczby przestępstw antysemickich we Francji przedstawionych na stronie OBWE](#) – które sugerują, że w 2018 r. miały w tym kraju miejsce 183 fizyczne napaści o podłożu antysemickim - oraz w [publikacji FRA o przejawach antysemityzmu w krajach członkowskich UE w latach 2009 – 2019](#) – z której wynika, że w 2018 r. miało we Francji miejsce 81 przypadków motywowanych antysemityzmem fizycznych ataków na ludzi, oraz 102 przypadki różnego rodzaju ataków na mienie o podłożu antysemickim).
7. Eric Heinze używa w swych publikacjach na temat „mowy nienawiści” i wolności słowa pojęcia „longstanding, stable, and prosperous democracy” (długotrwała, stabilna i prosperująca demokracja, skr. LSPD).
8. Pisała o tym [Amy Adler](#) w opublikowanym w 2001 r. artykule „[The perverse law of child pornography](#)”.
9. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że do Sejmu trafił tzw. [obywatelski projekt ustawy „Stop pedofilii”](#) w myśl którego publiczne propagowanie lub pochwalanie podejmowania obcowania płciowego przez osobę małoletnią miałyby być przestępstwem zagrożonym karą grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2, a jeśli miałyby ono miejsce w środku masowego komunikowania, groziłaby za nie kara do 3 lat więzienia. Taka sama kara, w myśl wspomnianego projektu miałyby grozić komuś, kto „propaguje lub pochwała podejmowanie przez małoletniego obcowania płciowego lub innej czynności seksualnej, działając w związku z zajmowaniem stanowiska, wykonywaniem zawodu lub działalności związanych z wychowaniem, edukacją, leczeniem małoletnich lub opieką nad nimi albo działając na terenie szkoły lub innego zakładu lub placówki oświatowo-wychowawczej lub opiekuńczej”. Dodam, że podobny projekt krytykowałem w opublikowanym w 2014 r. tekście „[Paragrafem w edukację seksualną?](#)”. Krytykowałem też – jeszcze przed jego wprowadzeniem do kodeksu karnego – pomysł stworzenia nowego przestępstwa publicznego propagowania (do czego w trakcie prac parlamentarnych dodano także pochwalanie) zachowań pedofilskich – zob. w tej kwestii mój tekst „[Propagowanie zachowań pedofilskich – niepotrzebne i niebezpieczne \(dla wolności słowa\) przestępstwo](#)”.